Cena mk. 1.25

SPRAWA

TYGODNIK, SŁUŻĄCY ODRODZENIU NARODOWEMU W DUCHU KATOLICKIM.

Rok I. *Warszawa, dnia 4 kwietnia 1919 r.* Nr. 9.

TREŚĆ NUMERU:

„O partji polskiej".

Pod tym tytułem w r. 1833 drukuje Mickiewicz artykuł w „Pielgrzymie Polskim". Czytamy tam pomiędzy innemi:

„Przeczuwamy wszyscy wielką walkę między partjami gabinetów i ludu, dawnego porządku i nowych potrzeb; obiedwie partje zbierają się, kupią i obliczają się nawzajem. Jakież chorągwie te partje wywieszą, jakie sobie nadadzą nazwiska? Te nazwiska już są znalezione, już są w obiegu między ludami różnych krajów. *Dwie tylko mieć będziemy partje w Europie: jedną z nich nazwie świat „moskiewską", drugą „polską"*.

Minęło lat 86 od czasu napisania tych słów. I cóż widzimy dokoła siebie? Czyż znowu nie dzieli się świat cały na dwie partje: na partję „polską" i na partję „moskiewską"? Jakżeż jednak *z pozoru* rzecz się odmieniła? Hasła wolności, samowładztwa ludu, walki z uciskiem widnieją dziś na sztandarach „moskiewskich", natomiast „partja polska" mówi o porządku, prawie, rygorze, posłuszeństwie prawowitemu rządowi. Więc wydaje się pozornie, że się role gruntownie odmieniły, że się Polska sprzeniewierzyła swoim dążeniom, a Rosja — swoim; że Rosja przebyła ewolucję postępową — ku wolności, zaś Polska dokonała ewolucji wstecznej—ku despotyzmowi, czy też jak się dziś mówi—ku imperjalizmowi, reakcji, niewoli...

Oczywiście jednak ta zamiana ról jest tylko pozorną. W gruncie rzeczy istota stosunków europejskich została ta sama. Jeśli już nie sięgać dalej, to w każdym razie od czasu traktatu Westfalskiego widzimy wyraźnie dwie partje w Europie, jak chce Mickiewicz: partję „polską" i partję „moskiewską". Jakkolwiek je jednak nazwiemy, istota pozostaje ta sama. Z jednej strony — prawo, z drugiej samowola i bezprawie; z jednej strony — wolność, z drugiej przymus; z jednej strony — szanowanie godności ludzkiej i cudzej woli, z drugiej — arbitralne „uszczęśliwianie" innych wbrew ich woli. Pozory inne, rzecz ta sama; hasła odmienne, lecz dawne cele. Partja „polska" — to partja chrześcijaństwa, partja „moskiewska" czy jak ją nazwiemy — to partja pogaństwa, wieczyście gotowego do walki z chrześcijaństwem.

Cóż się więc odmieniło w Europie w ciągu tych 86 lat od czasu, gdy Mickiewicz snuł te swoje pomysły? Odmieniło się bardzo wiele: odmieniło się tło, nastąpiło przegrupowanie sił. Naonczas w obozie „Moskwy" stały wszystkie zorganizowane państwa, propagujące jawnie egoizm narodowy, przewrotność i obłudę, tolerujące wszelakie „l'ordre regne á Varsovie"; wszędzie tryumfowała zasada „wiele to przynosi", wedle kapitalnego zwrotu tegoż Mickiewicza. Partja polska rekrutowała się naonczas tylko z nielicznych malkontentów, z ludów ciemiężonych i warstw upośledzonych, jęczących w jarzmie nielicznej kasty opasłych zwolenników „ancien regimé'u". Toteż Polska występowała w imię rewolucji, gdy Moskwa gorliwie podtrzymywała wszędzie „porządek", naprzykład w wypadku rewolucji belgijskiej w r. 1830 lub węgierskiej w r. 1849. Czyż jednak z punktu widzenia Wyższego Porządku, jedynego rzeczywistego, mającego prawo do tego imienia, stuletnia walka polska po dziś dzień i jutro jeszcze — nie jest wciąż walką o *porządek* właśnie? A walka Moskwy, czy to Moskwy Piotra czy Mikołaja czy Lenina — czyż to nie jest wciąż i nieustannie walka o utrzymanie jakiegoś bezprawia, nadużycia j złodziejstwa, czy wtedy, gdy zawierano „Święte" przymierze, czy wtedy, gdy miażdżono wolność Węgrów, czy dziś wreszcie, gdy się tych samych Węgrów rzekomo broni przed „imperjalizmem" Ententy?

Więc i dziś znowu stoją przeciw sobie te dwie partje Europy i mają stoczyć nową bitwę w tej wielkiej walce, ciągnącej się nieprzerwanie—powtórzmy—od r. 1648. Wyniku tej bitwy ani ogarniamy jeszcze. Może to i lepiej, bo inaczej zbyt silnego wstrząśnienia byśmy doznali. Jakżeż jednak się szanse zmieniły! o ileż się sytuacja nasza poprawiła?

Natenczas z nami była garść uciemiężonych, najlepszych wprawdzie w każdym narodzie, lecz jakżeż nielicznych — opozycjonistów! Dziś w obozie polskim stoją wielkie demokracje Zachodu, narody najwyższe, najdojrzalsze w świecie całym, pozatem nawet w narodach naogół nam wrogich mamy wszędzie sprzymierzeńców pomiędzy ludźmi najszlachetniejszymi, najbardziej miłującymi swój kraj, prawdziwą wolność i prawo.

W obozie „moskiewskim" natomiast kogo dziś widzimy? Rozanarchizowane masy węgierskie i niemieckie, broniące dawnego „stanu posiadania" Niemców i Węgrów, dwóch narodów, których potęga urosła z łupiestw i kradzieży! no i—Żydostwo!

Sytuacja się wyjaśnia. Jednak nie zupełnie. Jeszcze maski nie są całkiem zdjęte. Jeszcze pozory

są znakomicie zachowane. Naszą rzeczą jest, by zło nam wrogie zostało corychlej zdemaskowane. Pamiętajmy, że walka nasza winna być nietylko walką ciał, lecz i walką ducha—i to przedewszystkiem.

Stanisław. Cywiński.

Północna granica Polski.

W budowie Polski największą wartość posiada zachodnia, Piastowska krawędź obszaru. Tam leżał środek ciężkości narodowego życia za Bolesławów i tam, da Bóg, znajdzie się jutro, bez względu na centralną Warszawę. W istocie, tam właśnie leżą: Wielkopolska, kolebka państwa i narodu, ważniejszy od niej Śląsk z nieprzebranemi zasobami energji kopalnej—i najważniejsza krawędź, ta nadmorska, upragnione okno na morze, o którem dziś z największą troską mówi cały już — dosłownie — naród. Krawędź to najściślej z Polską związana, najważniejsza i—najbardziej zagrożona.

W istocie, z trzech łamów Polski pruskiej, dwa—Śląsk i Wielkopolska, to szczątki tylko, utraconego bezpowrotnie dorzecza Odry. Stoki ziemi, brzegi wód, obręby granic dotychczasowych, a wręby granic jutrzejszych zwróciły je i splotły z Niemcami. Fizycznie (i nietylko fizycznie może?) są one odwrócone od reszty ojczyzny. Sztucznie, kanałami Bydgoskim, Łęczyckim i Bogumińskim trzeba je będzie wiązać z ciałem Nowej Polski. Natomiast *Polskie Pomorze* — to główna część, integralna nawet, tej straszliwie okaleczonej Polski, jaką nam zwraca los. Tu się kończy Wisła, oś Polski, tu potężny strumień największej rzeki Baltyku łączy się z macierzystem morzem, tu okna kaszubskich chat patrzą na gładki gościniec, wiodący w bezkresy, na cały świat, tu swobodna fala bije od wieków w nasz brzeg i próżno wzywa na morskie zawody Polaków. W szlochaniu wichrów pomorskich, w szumie fal słyszy zbudzony dziś naród groźne: być albo nie być.

Polska jest gościńcem między dwoma morzami, najgłębiej wciętemi w ląd Europy. Czy będzie mieć dostęp choć do jednego z tych mórz? Polska jest korytarzem między wschodem i zachodem Europy. Czy będzie panią tego miejsca, które zajmuje? Polska, najmniejszy z wielkich narodów Europy, jest wciśnięta między dwa największe białe narody świata, pyszne, zaborcze, barbarzyńskie. Olbrzym przemysłowy i olbrzym rolniczy potrzebować się będą i nieprzeparcie dążyć do bezpośredniego zetknięcia. Czy łącząca je Polska potrafi je w potrzebie rozdzielić, czy oprze się ich naciskowi, czy będzie mieć mocne granice?

Dwie granice przyrodzone ma polski pasaż: góry i morze. Obie zniszczone. Podkarpacie i Karpaty aż do Dunajca niemal, do Szczawnicy, do podtatrzańskiej wsi Osturni zalał żywioł ruski, poprzez który sięgnąć może Rosja i odebrać nam całe niemal górskie oparcie. Całe pobrzeże Baltyku, od fińskich zatok do świętej Rugji, opanował żywioł niemiecki, utworzył potężne barjery, broniące nam do morza dostępu.

Uderzająca jest symetrja południowej i północnej granicy Polski. Przyrodzone granice polskiego korytarza najsilniej *zbliżają się* i osłaniają Polskę na południku Odry. Na wschód od Łużyc i Rugji *oddalają się* od siebie symetrycznie, żeby objąć dwa wielkie pola bojów piastowskich: Pomorze i Śląsk, dalej znów *zbliżają się* zatoką Gdańską i przedgórzem Tatr (południk źródeł i ujść Wisły), aż na wschód od południka Warszawy rozbiegają się gwałtownie, bezpowrotnie, otwierając przed Polską niezmierne obszary Wschodu.

Niemniej rażące jest podobieństwo stosunków i losów obu granic. Oba pogranicza — podgórskie i nadmorskie — były widownią najzacietszych walk, rozstrzygających o losach narodu.

Śląsk i Ruś Czerwona z jednej, Pomorze i ziemia pruska z drugiej strony, od wieków były i są najbardziej zagrożonemi polami narodowego życia. Polska, obwarowana na zachodzie klinem Wielkopolski, na wschodzie ogromną fortecą naturalną Polesia, patrzy z rozpaczą na skurczone — oby nie odjęte — granice: gór i morza.

Od gór odparły Polskę zabory Niemców, Czechów, Węgrów, dalej kolonizacja ruska, jeszcze dalej — granica Wołoska. Natomiast kresy pomorskie stały się dwakroć łupem niemieckim. A na wstępie do obszarów wschodniej Europy stoją na flankach Polski Rumunja i Litwa i odsuwają Polskę: tamta od gór, ta—od morza.

Dwa razy budowało mrowie niemieckie tamę, broniącą Polsce dostępu do morza. W wieku XII i XIII Krzyżacy, w wieku XVIII — Fryderyk zwany wielkim. Dziś zanosi się na dźwignięcie tej tamy poraz trzeci. A gdy troskliwość angielskiego męża stanu o zachowanie tamy niemieckiej nad Baltykiem staje wpoprzek najpotężniejszym dążeniom naszego narodu, sprobujmy zdać sobie sprawę, w jakiej mierze jesteśmy naprawdę wydziedziczeni z brzegu morskiego. Wypada nam się dzielić linją nadmorską z innemi, oceńmy nasze narodowe stanowisko w dziedzinach podmorskich.

Główny zrąb Polski Piastowskiej łączą z morzem dwie krainy: Pomorze i ziemia pruska. Powstały one z przecięcia wału Pojezierza z dolinami Wisły i Niemna.

Bezdrożami jezior i bagien, pustkowiami lasów Tucholskich i pruskich obronne, Pojezierze odgradzało morze od reszty kraju. Zato dolna Wisła i dolny Niemen potężnie wiązało je i wiąże na wieki. Nic nie rozerwie tych związków. Może istnieć tylko pytanie, kto z tych związków ma nadal korzystać.

Są te kraje terenem walki. Śmiały zasiąg niemiecki umocował się tu na obcem wybrzeżu i ciosem wstecznym wyłamał sobie połączenie z pniem niemieckim. Skrzyżowały się tu w nieubłagany sposób interesy Polski i Prus. Nowotwór pruski stał się wrogiem śmiertelnym oskrzydlonego narodu.

Kanclerz Bülow w głośnej swej książce słusznie podniósł, że niema w dziejach Niemiec nic godniejszego uwagi, *nic donioślejszego*, jak cichy rozrost Prus, tkwiących korzeniami w ziemi litewskiej i polskiej. Zastęp niemieckich kolonistów, rzucony daleko w głąb ziem obcych, stworzył zawiązek potęgi, która imię swoje rozpostarła na całą północ Niemiec, władzę — na całą Europę środkową, wpływami swemi — oplotła cały świat. Słusznie też kanclerz niemiecki powiedział:

„Nie możemy dopuścić, by wyschły korzenie potęgi pruskiej, by nasza narodowość nad Wisłą i Odrą została wyparta falami obcego szczepu... Uważam kwestję kresów wschodnich, nietylko za najważniejszą kwestję polityki pruskiej, ale wprost za kwestję, od której rozwoju zależy najbliższa przyszłość niemieckiej ojczyzny“.

Słowa te, wygłoszone w roku 1902, są i dziś, w godzinie największego, jakie świat zna, przesilenia, hasłem bojowem pozornie złamanych Niemiec. Naród

niemiecki obojętnie znosi utratę doliny Renu, świętej rzeki, jedynej łącznicy Niemiec północnych z południowemi, ale burzą gniewu przyjęły Niemcy zapowiedź utraty ziem polskich, utraty ujścia arcypolskiej Wisły. A opór Niemiec i wrażliwość Anglji na ich krzywdę były tak mocne, że zachwiała się stanowczość zwycięzców i los nadmorskiej Polski został raz jeszcze zagrożony.

Tymczasem Polska sięga do morza nietylko pragnieniami, niepowstrzymanemi, jak bieg Wisły. Żywe morze narodu polskiego rozlewa się wzdłuż dolnej Wisły aż do jej wylotu. Lecz półtorawiekowe panowanie Krzyżaków (1308 — 1466) i półtorawiekowe panowanie Prus (1772 — 1918) stworzyły potężną wyspę niemiecką na miejscu wytępionego litewskiego szczepu, enklawę, która jak klin wbija się między ujścia Niemna i Wisły, między naród polski i litewski. Powstaje pytanie: czy ta wyspa ma prawo zagrodzić drogę, zamknąć stosunki ze światem wielomiljonowemu narodowi?

Wyspa niemiecka — umiejętnie, systematycznie rozszerzana zarówno przez Fryderyka II, jak wierną spadkobierczynię jego planów osadniczych — komisję kolonizacyjną, — powiększyła się znacznie w ostatnich stu latach, półwyspami i wyspami swojemi przeżarła polskie i litewskie pomorze. Wszakże i dziś, jak przed laty opasuje tę wyspę półkole krajowców, łańcuch powiatów, którego końce tworzą Kaszubi i Litwini, a środkowe ogniwa lud chełmiński i Mazowsze pruskie.

Niełatwo jest dokonać ilościowego rozbioru tych dziedzin przy pomocy statystyki pruskiej, pełnej fałszów. W rozprawie swojej (Żywioł polski w Prusiech wschodnich i zachodnich, 1915 rok). obliczyłem, że z obszaru Prus wschodnich i zachodnich, obejmującego 60 tys. km² (dwakroć większego od Belgji) zajmują:

32 powiaty polskie—35 tys. km²—58% obu prowincji.

40 powiatów polskich i litewskich—42 tys. km²—70% obu prowincji.

Wyspa powiatów niemieckich — niespełna trzecią część.

Taki obręb wyznacza Niemcom w Prusach granica zakreślona na podstawie mapy kolonizacji polskiej w pomnikowem dziele Kętrzyńskiego (O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich. Lwów, 1882) i stacje badań djalektów polskich prof. Nitscha na mapach djalektologicznych (w Rozprawach Akademji Um. w Krakowie i w rocznikach Tow. Naukowego Toruńskiego). Cyfry moje i wnioski powtórzyli: Olechowski (Plaidoyer pour la Pologne), Zakrzewski (Polska), Wakar (Rozwój terytorjalny narodowości polskiej). J. Kowalczyk w angielskiej rozprawie o Polsce pruskiej poprawia liczby urzędowej statystyki, potrąca z ogólnej liczby Niemców—urzędników i wojsko i dochodzi do nast. wyników:

	Polaków	Niemców
5 całkowitych rejencji Poznańskiego, Prus królewskich i Mazowsza pruskiego	2.7 milj.	1.8 milj.
Śląsk Górny *(cały)*	1.3 „	0.75 „
Cały zabór pruski	4.0 milj.	2.55 milj.

Jeżeli odciąć od tego zniemczone pogranicza po linjach pociągniętych przez komisję Cambona, to nie zostanie na przywracanych Polsce ziemiach ani dwóch miljonów Niemców i obawy obciążenia Polski balastem niemieckim, staną się wysoce przesadne. Podobnie do Kowalczyka, lecz szczegółowiej znacznie usiłuje ocenić stopień zniemczenia Polski pruskiej Cz. Andrzejewski (Żywioł niemiecki w zachodniej Polsce. Poznań 1919) i dochodzi do nast. wyników:

	Ogół „Niemców" wg. danych urzęd. 1910 r.	W tem ludn. niem. *zależnej* bezpośred. od rządu, niestałej.
Powiśle pruskie (19 powiatów)	473 tys. (45% ogółu)	149 tysięcy (14%)
Reszta pow. — 10 (delta Wisły i kraje zniemczone)	624 tys. (93% ogółu)	85 tysięcy (13%)
Mazowsze--Warmja (10 powiatów)	255 tys. (48% ogółu)	59 tysięcy (11%)

A więc ludność niemiecka niezależna od rządu. albo zależna tylko pośrednio, stanowi:

na Powiślu pruskiem 31% ludności,
w Delcie Wisły i skrajach zniemczonych 79%
na Mazowszu pruskiem 35%.

Ogół Niemców niezależnych w zaborze pruskim 1.7 milj.=28% ludności.

E. Romer w drobiazgowej pracy „Polacy na kresach pomorskich i pojeziernych" (Lwów 1919), poddaje miażdżącej krytyce statystykę urzędową i oparte na niej prace niemieckie, przedstawia na 7 mapach obraz rozpostarcia Polaków pomorskich. W obliczeniach swoich łączy Romer cztery rejencje: 2 Prus królewsk., Olsztyńską i Bydgoską i otrzymuje nast. wyniki:

Wedle danych urzędowych:
Suma ludności r. 1910—2.956 tys.
Polaków wg. danych urzęd. 1.260 tys. (43%).

Kraje to słabo zaludnione — 60 mieszkańców na kilom. kw.

Na 47 powiatów—ma 28 powiatów większość gmin z ludnością polską.

Otóż kontrola liczb spisu ludności danemi statystyki wyborczej i szkolnej podnosi udział ludności polskiej w pomienionych rejencjach—z dołączeniem 3 przyległych powiatów (lemborskiego, bytowskiego i oleckiego)—do 505 na tysiąc.

Z 6800 gmin obszaru aż 1800 ma o 5% więcej Polaków, na podstawie statystyki szkolnej, niż wedle spisów ludności. Przeszło 500 gmin dopiero w świetle statystyki szkolnej nabiera charakteru polskiego.

Gmin z przewagą polską naliczył Romer 67%, a polski obszar etnograficzny w 4 pomienionych rejencjach wynosi 68%. Procent zaś ludności polskiej tak wygląda po dokonaniu poprawek:

Rejencja	Spis ludn. 1910 r.	Korekta Romera
Gdańska + 2 pow. pomorskie	26.8%	31.0%
Kwidzyńska	42.0 „	50.8 „
Bydgoska	51.1 „	56.1 „
Olsztyńska + Olecko	50.3 „	71.2 „

Tylko rejencja Gdańska ma przewagę niemiecką; przeciwstawiają się tu sobie: zniemczona *delta Wisły*, niezmiernie gęsto zaludniona, posiadając 2 wielkie miasta portowe i słabo zaludniona reszta kraju, w ²/₃ polska. Cyfry urzędowej statystyki niemieckiej zostały przez subtelną i pomysłową krytykę Romera gruntownie zmienione.

Z dawnego Pomorza ocalała nietylko pamięć apostolstwa i bojów Bolesławowych i prochy książąt pomorskich pod pomnikiem cysterskiego kościoła w Oliwie. Pozostała pamięć świetności, jaką dał Gdańsk Polsce, a Polska — Gdańskowi po rozbiciu państwa

krzyżackiego u świtu epoki Nowożytnej. Pozostały wspomnienia uderzającej wierności hanzeatyckiego miasta—szlacheckiej Rzeczypospolitej i wymowne napisy medalów jubileuszowych, jakie „król Bałtyku" bił co lat 100 na pamiątkę swojego przyłączenia do Polski. Pozostały niezmienione związki między wylotem Wisły a ogromnemi obszarami jej dorzecza, i pozostał na swoich stanowiskach nadmorskich polski lud, mimo najstraszliwszych, jakie zna świat, wysiłków tępicieli.

Ile ocalało siedzib tego ludu, tyle tylko chcą nam przyznać Pomorza. Tymczasem uziemie polskie jest fatalnie powikłane z obszarami zniemczonemi: ludność niemiecka obsiadła i dolinę Wisły i linję kolei z Gdańska do Warszawy i całą deltę Wisły. Z drugiej strony ludność polska otacza deltę Wisły w pow. Gdańskim, Tczewskim, Sztumskim. Polskie powiaty Prus Zachodnich tworzą bezprzerwny pomost między Wielkopolską a morzem, a Mazowsze Pruskie tworzy pomost między Powiślem Pruskiem, Mazowszem Warszawskiem, a Suwalszczyzną i dalej polską częścią Litwy. Niezmierne jest znaczenie tych ziem dla zjednoczenia Polski.

Granica Cambona przyznała Polsce dolną Wisłę z całym jej wylotem. Odsunęła Polskę od pasma jezior między Łebskiem a Słubskiem, gdzie za naszych czasów wygasł język polski u nadbrzeżnego ludu. Wstrząsajacy obraz dogorywania tej gałęzi narodu i kurczenia się polskiego wybrzeża odmalowali w swoich studyach Hiferding i Parczewski.

Niemiecki Gdańsk, zbudowany na miejscu wymordowanego i spalonego przez Krzyżaków polskiego Gdańska *), budzi wątpliwości angielskiego premjera. Także los pow. Suskiego, zniemczonego w ostatniem stuleciu, został zakwestjonowany. A jednak ten powiat leży na drodze z Warszawy do Gdańska i otoczony jest z trzech stron polskiemi powiatami, m. i. pow. Sztumskim, obwarowującym deltę Wisły polskiemi wioskami od wschodu. Granica Elbląga, wytknięta w Komisji, jest ściśle starożytną granicą polskiego Pomorza a Ziemi Pruskiej.

Wedle projektu Komisji, północną granicę Polski tworzyłoby na wązkiej przestrzeni morze — *Zachodnia część zatoki Gdańskiej*. Trzy lub cztery małe powiaty dotykałyby morza. Ale do rąk polskich dostałaby się *delta Wisły*, potężne *węzłowisko dróg*—wodnych i kolejowych, które stąd promienisto rozbiegają się i osnuwają morze i pas pomorski, podkreślając rolę Gdańska, jako wielkiego ogniska, dla którego Warszawa będzie tylko portem tyłowym, wewnętrznym.

Tymczasowa granica biec ma od Elbląga do Mławy, przywracając Polsce *Ziemię Chełmińską*, którą ostatecznie dopiero Kongres Wiedeński oddał był w posiadanie Prus.

Mazowsze Pruskie, obszaru 12 tys. km^2, z półmiljonową ludnością, kraj lasów i jezior, zaludniony przez zamożnych chłopów Mazurów—ewangielików, nie został narazie przyznany Polsce. Tu północna granica Polski powinnaby pójść od Młyna nad Liwną (Liebemühl), ważnego węzła dróg wodnych, na północ od Ostródy i Olsztyna przez Jeziorany (Seeburg), po przez wielkie jeziora mazurskie na Gołdap do jeziora Wisztynieckiego, w Suwalskiem, gdzie spotkałaby się z granicą polsko—litewską,

Tak więc zniemczone Pomorze z jednej strony, zniemczona ziemia Pruska z drugiej zwęziły polski dostęp do morza, a nawet zagroziły mu zupełnem przekreśleniem. Na wschód od ujścia Wisły niemiecka wyspa Wschodnio-Pruska — zabytek po Krzyżakach, a dalej szczep litewski wyznacza granicę północną Polski.

Granica polsko-litewska choć stanowi część północnej granicy Polski, nie da się omówić w oderwaniu od granic na Wschodzie.

Streszczamy: jak na południu Polska jest odparta od gór, tak na północy odsunięto nas od morza. Granica narodowa nasza odsuwa się od morza i na wschód i na zachód od Wisły. Zniemczona jest dolina Wisły i jej ujście, ale ten wąski pas Niemców nadwiślańskich obejmują powiaty polskie i ze wschodu (Ziemia Chełmińska, Sztumskie) i na zachód od Wisły (Puszcza Tucholska, Kaszuby). Powiaty polskie tworzą półwysep, wybiegający z obszaru polskiego i wązką szyją dotykający morza. *Jedynym* punktem, dostępnym dla żeglugi, jest ujście Wisły. Zniemczona delta Wisły jest *jedynem* miejscem, gdzie Polska może mieć dostęp do morza. Wiekowa praca przeobraziła deltę Wisły w potężny węzeł dróg i ognisko światowych stosunków. Pozostawienie tego węzła poza Polską, choćby w postaci wolnego miasta, oddałoby cały handel morski kraju w ręce obce, utrwaliłoby niemieckie panowanie nad nami, a w przyszłości otworzyłoby drogę do nowych zamachów na Polskę.

Tadeusz Turkowski.

*) Ks. St. Kujot. „14 listopada r. 1308 w Pomorzu Gdańskiem". Rocznik Tow. Nauk. w Toruniu, 1908, str. 88—89.

Surowy prefekt.

Pisma codzienne ogłosiły o odbytej konsekracji nowomianowanego biskupa, sufragana lubelskiego, ks. Adolfa Józefa Jełowickiego.

I myśl moja cofnęła się o lat dwadzieścia siedem wstecz do owej chwili, kiedy dzisiejszy dostojnik Kościoła wszedł w mury warszawskiej szkoły realnej w charakterze prefekta. Sam kończył nauki średnie w tej szkole i gdy, po dłuższym pobycie za granicą, powrócił do kraju, skorzystał z istniejącego wakansu, by w tych samych murach nieść umiejętnie do serc młodych zasady Chrystusowe.

Pierwsze kroki księdza prefekta na tej niwie pracy wywołały... rewolucję.

Ksiądz Jełowicki nie tylko zapowiedział, że będzie żądał, by do nauki religji uczniowie przykładali się równie pilnie, jak do innych przedmiotów,—ale to żądanie poparł stawianiem stopni niedostatecznych tym, którzy jego zapowiedź zlekceważyli.

Wśród uczniów powstał popłoch, a wśród rodziców,—zwłaszcza tych co w życiu prywatnem odznaczali się obojętnością do religji lub nawet niechęcią—powstało wielkie niezadowolenie. Ale popłoch zamienił się w ostateczną panikę, a niezadowolenie w krańcowe oburzenie, kiedy dwójki z religji znalazły się i na niektórych cenzurach.

Wiem o paru prywatnych zebraniach rodzicielskich, na których debatowano nad sposobami usunięcia „niesprawiedliwego" księdza prefekta, ogłoszono go w pantoflowej poczcie za „pozbawionego uczuć patrjotycznych", a nawet jeden z bardzo „patrjotycznych" ojców poszedł do dyrektora ze skargą na „znęcającego się" nad jego synem księdza prefekta.

Usłyszał jednak odpowiedź, że ten ksiądz, to „takoj bolszoj pan", iż on, dyrektor, woli się do tej kwestji nie wtrącać. A były to czasy Hurki i Apuchtina.

Powoli fale oburzenia zaczęły przycichać. Uczniowie zorjentowali się, iż to nie przelewki, że na czwór-

kę czy piątkę z religji tak samo trzeba zasłużyć, jak z arytmetyki czy geografji, że minęły bezpowrotnie czasy, kiedy do religji nie potrzeba było się przygotowywać, a za to na wykładzie religji można było odrabiać inne lekcje.

Pogodzono się tedy z nowym stanem rzeczy, a pogodzono tem łatwiej, że ten nowy prefekt nie tylko żądał więcej, ale i z siebie dawał więcej.

Ksiądz Jełowicki, nim został prefektem, kształcił się nie tylko w seminarjum, ale i w uniwersytecie w Lowanium, odbył dłuższą podróż po Ziemi Świętej. Dużo więc wiedział i dużo widział. Wykłady religji zaczęły być bardzo zajmującemi. Zanikł zwyczaj zadawania „odtąd — dotąd". Coraz to ksiądz prefekt przynosił na lekcję jakiś przedmiot, fotografję, obrazek, przywieziony z Palestyny lub Rzymu. Nauka religji zaczęła nabierać plastyczności, przed oczyma naszemi otwierały się szersze horyzonty, bezmyślne „pytlowanie" katechizmu ustąpiło miejsca świadomemu poznawaniu zasad wiary.

Ale nimżeśmy to chłopięta dwunastoletnie zrozumieli—godziło nas z księdzem prefektem jego stanowisko względem władz szkolnych. Było jeszcze w szkole realnej wówczas paru nauczycieli Polaków, którzy zachowywali się bardzo potulnie wobec władz i kolegów Rosjan, czasem może nazbyt potulnie—a tymczasem ks. Jełowicki był naprawdę „bolszoj pan". Traktował wszystkich uprzejmie ale chłodno i zdaleka, a sercom pacholęcym bardzo to dogadzało, że te nielubiane, a nawet często i znienawidzone „kacapy" więcej czapkowały przed naszym księdzem prefektem, niż przed swoim popem.

A później w klasach wyższych, przy nauce historji Kościoła, ksiądz prefekt nie tylko mówił o potępionych sektach religijnych, ale też i o prądach społecznych w dziejach ludzkości. Jeżeli dziś tak wielu wychowańców warszawskiej szkoły realnej z czasów prefektury ks. Jełowickiego zajęło wybitne stanowisko w społeczeństwie, to z pewnością wiele się do tego przyczynił ten fakt, że o obowiązkach społecznych i narodowych dowiadywali się najpierw z ust księdza prefekta, a nie z podziemnych broszurek agitacyjnych różnych partyj i partyjek.

Jak silne owe uświadamianie społeczne i narodowe na gruncie religijnym robiło wrażenie na młodych umysłach, to do dziś dnia zachowała mi się w pamięci wzruszająca chwila na jednym z wykładów religji w klasie siódmej. Było to pod koniec roku szkolnego; mówiąc o czasach obecnych, ks. Jełowicki podniósł konieczność łączenia się ludzi dobrej woli, by skutecznie można było przeciwdziałać szerzącemu się złu i rozprzężeniu. Mówił prosto, bez efektów krasomówczych, a jednak tak przekonywająco, że kilku nas, razem siedzących, odruchowo w jednym momencie podało sobie ręce, niemo się łącząc w niepisany związek dla służby pod sztandarem polsko-katolickim.

Owionęły mię wspomnienia niedawnej młodości i dałem im ujście w niniejszym artykule nie dla czyjejś chwalby—ale dla wykazania ogromnego znaczenia należytego postawienia wykładów religji w szkołach. Po wychowaniu w rodzinie jest to najważniejsza kwestja naszych czasów.

Wiem, że dziś o dużo lepiej nauka religji w szkołach stoi, niż lat temu trzydzieści czy dwadzieścia—ale wiem też, iż powinna stać jeszcze lepiej.

Wszystko, co dziś przedsiębierzemy dla uregulowania stosunków w społeczeństwie dorosłem, jest tylko półśrodkiem — trzeba zacząć reformę od rodziny i szkoły, a w szkole od nauki religji.

Tam są fundamenty odrodzenia narodowego.

A. L. S.

X. Dr. BOLESŁAW WILANOWSKI.

Uświadomienie religijne.

My Polacy odznaczamy się naogół biorąc dużą uczuciowością. Uczuciowość ta, przejawiając się w najrozmaitszych — z naszą nawet szkodą — dziedzinach, w żaden sposób nie może być wykluczoną z dziedziny religijnej. Przeciwnie, tu dopiero ma ona właściwe dla siebie pole, tu dopiero może nabrać należytego rozmachu, tu dopiero może wystąpić w całej pełni. Toć przedmiotem religji jest Bóg—nieskończone Piękno, Dobro; a wszak serce nasze ku tym właśnie rzeczom się wyrywa. Nic więc dziwnego, że uczuciowość nasza w dziedzinie religijnej prawdziwe święci tryumfy. Trzeba widzieć te sceny, jakie się rozgrywają w kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze, gdy tam przyjdzie z odległych okolic kompanja; trzeba słyszeć ten serdeczny polski przed cudownym częstochowskim obrazem szloch, by poznać całą wielkość naszego uczucia religijnego. A to nasze przepotężne Święty Boże, a te nasze przemiłe nabożeństwa majowe, odprawiane nie tylko po kościołach, ale i tam gdzieś przed figurą—u krzyża wśród pól, malowanych zbożem rozmaitem... Doprawdy, nigdzie niema tyle ciepła i serdeczności w nabożeństwach, co u nas. I to jest tak miłe, tak radosne. Ale, niestety, przy tak dużem udziale serca w naszem życiu religijnem udział rozumu jest tak mały.

W rozmowach z ludźmi o najlepszej woli a wysokiej inteligencji spotyka się ciągle rozgraniczanie tych dwóch dziedzin—wiary i wiedzy. Sfera prawd religijnych—mówią—należy jedynie do dziedziny wiary, nauka nie ma tu nic do powiedzenia, trzeba tylko wierzyć, a nie rozumować. W tych słowach, tak często napotykanych, czuje się pewien lęk, by ten zimny rozum nie zwarzył czasem owego ciepłego uczucia religijnego, bez którego ci ludzie obejśćby się jednak nie mogli. Chcąc uchronić od zagłady ów tak dla nich cenny skarb wiary, usuwają go starannie z pod wszelkiego wpływu rozumu. Ludzie ci instynktownie czują, że religja jest im do życia niezbędnie potrzebną, że bez niej życie ich byłoby beznadziejnie smutne. A uświadamiają sobie, że gdy w sprawę ich wierzeń wda się rozum—ich własny w tych rzeczach nieuświadomiony rozum—to przed jego krytycyzmem ostać się one nie będą w stanie. Więc wolą wierzyć — tylko wierzyć—wierzyć wprost ślepo.

Patrząc na to, wnikając w tę psychologję, doznaje się wprost dziwnego uczucia. Chciałoby się tym ludziom dopomódz, powiedzieć, przekonać, że wiara, że dogmaty rozumu się nie boją; owszem, rozum ściśle a logicznie wnioskujący, a oparty na rzetelnych danych rozmaitych nauk, dogmaty religijne tylko wesprzeć może, dać im wprost niewzruszone podstawy. Bez podstaw zaś rozumowych wszelkim wierzeniom religijnym jest czegoś brak, i to brak czegoś niezmier-

Z prac sejmowych.

Prace Sejmu Ustawodawczego, aczkolwiek zasypane wciąż jeszcze gadulstwem i powodzią wniosków nagłych, posuwają się jednak wciąż naprzód, i nieraz niegłośne, za nudne uznane posiedzenia więcej załatwiają pożytecznych spraw, aniżeli te, o których przedtem i potem wiele mówią i piszą.

Jedną z głośnych spraw, załatwionych przez Sejm, jest ustawa o Komisjach Rozjemczych, mających załatwiać zatargi zbiorowe między służbą folwarczną, a ziemianami. Ustawa ta nosi na sobie piętno pośpiechu, a nawet pewnego nacisku z zewnątrz, bo z lewej strony wciąż straszono i grożono katastrofą na 1 kwietnia, jeśli ustawa w życie nie wejdzie. Nastrój demagogiczny też bardzo silnie się odbił na szczegółach ustawy. Niektóre, najbardziej skandaliczne przepisy, przez komisję do pierwszego czytania polecone, zostały pod wpływem dyskusji w klubach przez nią samą cofnięte. Ale zostało ich jeszcze dosyć. Do takich szczegółów skandalicznych, dla demagogji przeprowadzonych, wbrew przekonaniu niewątpliwej większości Sejmu--należą zwłaszcza dwa przepisy. Pierwszy—to sankcja karna za niestawienie się przed Inspektorem Pracy, wymierzona dla pracownika w wysokości od 5 do 10 marek, a dla pracodawcy — od 1000 do 2000 marek! Ma to smaczek zupełnie bolszewicki, to minimum 1000 marek dla jednych—a maximum 10 mk dla drugich. Chłopi słusznie podnosili, że tym pracodawcą może być i gospodarz parowłókowy, zatrudniający dziesięcioro czeladzi. Żadna ustawa dotąd nie naruszała tak cynicznie pozorów bezstronnej sprawiedliwości, boć różnica zamożności powinnaby być pozostawiona do ocenienia sędziemu, przy określeniu w ustawie tylko jednego maximum kary. Konsekwentnie w tej psychologji „proletarjackiej" idąc, trzebaby i ceny produktów określać różne—dla „towarzyszy" i „burżujów". Wogóle znać w Sejmie jeszcze, że wychodzimy z okresu wojny, kiedy poczucie prawa, sprawiedliwości i granic samowoli administracyjnej jest niestety bardzo osłabione. Przytem z atmosfery wojennej także czerpie Sejm tę łatwość szafowania karami administracyjnemi, zamiast zwykłej drogi sądowej.

Ten przepis karny — ma znaczenie teoretyczne, w praktyce będzie dosyć obojętny. Natomiast drugi przepis demagogiczny ustawy — jest i praktycznie wprost groźny. Chodzi tu o danie prawa czynnego wyboru do Komisyj Rozjemczych — pracownikom od 16-go roku życia. Związek Ludowo-Narodowy proponował podniesienie tego wieku do 18-tu lat, chociaż gospodarze — chłopi naogół ze zgorszeniem przyjmowali myśl dania takiego prawa wogóle niepełnoletnim.

Słuszność propozycji była oczywista, ale grupa Piasta dała się, jak już nieraz, pociągnąć argumentem — „do pracy to dobry — a jak do wyborów — to nie!", i by uniknąć pomawiania o „nieżyczliwość dla robotników" głosowała przeciw poprawce. Nie pomogło zwrócenie uwagi na to, że w rolnictwie pracują i dzieci od lat 10-ciu, i że ich obronę muszą podjąć starsi. Dopuszczenie do wyborów smarkaczy 16-to letnich i dziewcząt w tym wieku jest tylko narzędziem rozbicia wszelkich układów przez niesumiennych agitatorów, którzy takim młodocianym „wyborcom" potrafią narzucić „rozjemców", zupełnie niezdolnych do rzeczowego prowadzenia układów.

Ten sam podkład demagogji i doktrynerstwa ma i nieszczęsny paragraf piąty ustawy, który czyni jej pożyteczność zupełnie iluzoryczną tam, gdzie z jednej strony będzie zła wola. Związek Ludowo-Narodowy proponował uczynić oddanie sprawy rozpatrzeniu Komisji Rozjemczej obowiązkowem, jeśli je jedna ze

---

nie ważnego. Religja obejmuje dwie dziedziny: sferę prawd metafizycznych i moralność. I jedna i druga dziedzina bez rozumowania obejść się wprost nie może.

Gdy w życiu religijnem chodzi o uczucie, to powstaje ono zupełnie samorzutnie. Każdy może tu sam sobie wystarczyć — przewodnicy nie są tak niezbędni. Inaczej rzecz się przedstawia ze stroną umysłową. Ponieważ sfera wierzeń religijnych zawiera w sobie zagadnienia dla umysłu ludzkiego i do pojęcia i do rozwiązania najtrudniejsze, przeto pomoc drugich okazuje się w tej dziedzinie wprost niezbędną. Nie mogąc z tych czy innych powodów korzystać z pomocy osobistej, musimy się często uciekać do odpowiednich książek.

Literatura religijna polska, jakkolwiek nie nazbyt bogata, to przecież posiada już dość dzieł, z których bardzo wiele nauczyć się można. By się w tych dziełach odpowiednio zorjentować, by wiedzieć, dokąd, gdy chodzi o pewne zagadnienie, zwrócić się należy, powstały różne katalogi informacyjne i przewodniki. Z pośród istniejących polecić możemy następujące: Najprzód, jako najmniejszy, katalog informacyjny wydany przez X. A. Pyzowskiego *). Podaje on jedynie dokładne tytuły dzieł wraz ze spisem rozdziałów. To pozwala zorjentować się w treści, ale nic nie mówi o wartości książki. Obejmuje ten katalog jedynie literaturę polską. Prócz polskiej zawiera też i obcą Przewodnik, opracowany przez O. Woronieckiego *). W Przewodniku tym O. Woroniecki podaje wskazówki metodyczne czytelnictwa, mówi o sposobie zdobycia niezbędnych wiadomości w dziedzinie religijnej, oraz kreśli wstępy do poszczególnych działów piśmiennictwa religijnego, z których czytelnik odrazu zdobywa wiele zasadniczych wiadomości, dotyczących omawianych przez autora kwestyj.

Trzecim wreszcie jest przewodnik, który wyszedł z pod pióra X. Prof. Szymańskiego **). W poszczególnych rozdziałach tej książki zostały omówione następujące przedmioty: historja, pogląd filozoficzny, wykład i obrona wiary, nauka moralności, prawo kościelne i liturgja, nauki społeczne, sprawy bieżące, literatura, wydawnictwa perjodyczne. Sposób omawiania jest taki, że autor po przytoczeniu dokładnego tytułu poszczególnego dzieła, podaje w kilku lub kilkunastu wierszach — zależnie od wartości książki — jej treść i zasadniczą ocenę. Ogólniejszego rzutu oka na całość przedmiotu niema. Omówioną została jedynie literatura polska.

W podanych tu przewodnikach można znaleźć wskazówki, dokąd udać się, po jaką książkę sięgnąć,

*) X. Adam Pyzowski. Co czytać? Katalog informacyjny dla maturzystów. Część I. Religja. Filozofja. Nauki społeczne. Warszawa 1917, 8⁰ str. 62.

*) O. Jacek Woroniecki. Przewodnik po literaturze religijnej dla osób pragnących pogłębić swe wykształcenie w dziedzinie wiary katolickiej. Lwów—Włocławek 1914, 8⁰ str. 160.

**) Ks. Antoni Szymański. Uświadomienie katolickie. Przegląd krytyczny literatury religijno-katolickiej polskiej. Warszawa 1913. 8⁰ str. 168.

stron zaproponuje. Tymczasem ze strony doktryny robotniczej podniesiono przeciwko tej propozycji, że narusza ona świętą zasadę „wolności strajku!" Jakby taka zasada była istotnie jakąś świętością! Trzeba raz zrozumieć, że strajk jest tylko ostatecznym środkiem przeciwko niesumiennemu pracodawcy, i że używanie strajku bez ostatecznej konieczności jest zbrodnią przeciw ludzkości, zwłaszcza gdy chodzi o pracę niezbędną dla dobra powszechnego. Gdy więc pracodawca zgadza się na rozstrzygnięcie sporu przez Komisję Rozjemczą — warowanie prawa strajku dla pracowników jest warowaniem gwałtu przed sprawiedliwością. Wszak wychodzić musimy z założenia, że Komisja Rozjemcza sprawiedliwe podyktuje warunki; a zatem warowanie jakiegokolwiek samowolnego sposobu regulowania sporu poza plecami Komisji — jest warowaniem prawa działania przeciw sprawiedliwości. Stąd przymus poddania się sądowi rozjemczemu jest przymusem godziwym, krępuje on nie wolność, ale swawolę. Uprzytomnijmy sobie — że praca i produkcja jest obowiązkiem człowieka; że strajk pierwotnie w świecie katolickim był poczytywany za gwałt nieuczciwy, bo stawiający interes osobisty ponad dobro publiczne, wymagające pracy twórczej, i tylko powoli opinja publiczna katolicka uznała, że wobec zbrodniczego egoizmu pracodawców strajk jest środkiem godziwym, choć ostatecznym—„złem koniecznem". Prawo strajku zatem, wobec możności rozejmowej ugody, musi być z punktu widzenia katolickiej zasady wprost zaprzeczone: celem strajku godziwego może być tylko osiągnięcie sprawiedliwych warunków, których inaczej nie można osiągnąć; gdy więc istnieje Komisja Rozjemcza, która może podyktować sprawiedliwe warunki — upieranie się przy prawie strajku, jest upieraniem się przy swawoli, a nie przy wolności.

Tyle, co do zasady. Ale i praktycznie pozostawienie stronom w zatargu rolnym swobody odrzucenia wogóle Komisji Rozjemczej—jest groźnem, bo ułatwia komunistom, prowadzącym jak wiadomo strajki rolne w wielu wypadkach, przeciąganie ich i uniemożliwienie ugody, a co zatem idzie doprowadzenie do nieobrobienia pól na wiosnę. Doktryna zwyciężyła—choć dla „chłopskiego" stronnictwa Piastowców powinno było być dużo ważniejsze zapewnienie obsiania pól, aniżeli utrzymywanie wątpliwej zasady dowolności ugody, lub jej odrzucenia. I w tym wypadku z rozmów z posłami włościańskimi wynika jasno, że ich zdrowy rozum został tu poprostu w pole wyprowadzony przez intelektualne spekulacje, chociaż instynkt mu mówił: zgoda musi być, jak się kłócą, niech Komisja rozstrzygnie i basta!

Pomimo te braki, Ustawa powinna jednak dużo przynieść korzyści obu stronom. Dobra wola będzie mogła teraz okazać się niewątpliwie, a zła wola nie będzie już się mogła ukrywać pod obłudną maską. Cała dyskusja nad położeniem służby folwarcznej nasuwa jednak jedną smutną refleksję: wstyd dla ziemian, że dopuścili do takiego strasznego zaniedbania elementarnych potrzeb swoich pracowników, by dać pole do tak gwałtownych i słusznych oskarżeń. Ilu to ziemian w ciągu ostatnich lat trzydziestu pobudowało wspaniałe stajnie, obory i chlewy, ilu się szczyciło cudowną hygjeną swego bydła — ale gdzie są ci, co przed hygjeną bydła pomyśleli o hygjenie ludzi, i co wybudowali wzorowe mieszkania dla parobków? Wszystkie nadużycia demagogów nie zastąpią tej głównej przyczyny fermentu i strajków rolnych: karygodnego, krzyczącego zaniedbania ze strony ziemian.

Kronikarz katolicki Sejmu nie może nie podkreślić niezmiernie znamiennego i pięknego wystąpienia

---

gdy komuś będzie chodziło o poszczególne kwestje z dziedziny religijnej. Dotychczas bowiem dzieła polskie z zakresu religji miały charakter monograficznych bardziej opracowań. Książki, którąby dla inteligentnego czytelnika przedstawiała całość zagadnień religijnych, to jest zarówno stronę dogmatyczną jak i moralną, dotąd nie mieliśmy. Lukę tę wypełniła w ostatnich tygodniach dopiero wydana Teologja X. K. Lutosławskiego *). W książce tej łączy autor nova et vetera. Jako do wzoru, sięga do skarbnicy po wsze wieki wiedzy katolickiej — do t. zw. Summy św. Tomasza z Akwinu. Św. Tomasz z Akwinu, jeden z najgenjalniejszych, jakich ludzkość wydała, myślicieli—filozof i teolog zarazem—całą doktrynę katolicką ujął, wzorem swych współczesnych, w t. zw. Summę. „Gdy do Doktora prawdy katolickiej należy nietylko kierować posuniętymi w wiedzy, ale i początkujących nauczać, zamiarem naszym w tem dziele jest to, co należy do religji chrześcijańskiej, tak wyłożyć, jak to odpowiada nauczaniu początkujących. Sprobujemy tedy, ufając Bożej pomocy, to, co należy do świętej doktryny, pokrótce i jasno wyłożyć, na ile przedmiot pozwoli" — tak pisze św. Tomasz na początku swej Summy. Choć zapowiada, że wykład będzie krótki, to przecież Summa prawie petitem drukowana obejmuje pięć grubych tomów. X. Lutosławski w książce tu omawianej postarał się tę Summę dla czytelnika polskiego uprzystępnić.

Św. Tomasz dzieli teologję na trzy części: w pierwszej rozpatruje Boga, jako przyczynę wszechrzeczy; w drugiej — jako cel rozumnego stworzenia; w trzeciej nakoniec rozpatruje Boga, który w postaci ludzkiej stał się dla nas środkiem dążenia do tego celu. Odpowiednio do tego cała Summa została podzielona na 3 części. X. Lutosławski, opierając się zasadniczo na tym podziale, widzi tu jednak tylko dwie części: pierwszą — zawierającą podstawy wiary i moralności, drugą — badającą nasze życie moralne. Dlatego też dzieło swoje dzieli na te dwie części. Z zakrojonego na wielką skalę (5 tomów) dzieła dotąd wyszły tomy dwa: tom I części pierwszej i tom I (całości dzieła tom III) części drugiej *).

Tom pierwszy zawiera dwa traktaty: o Bogu i o dziele stworzenia. Ten traktat drugi mówi o samem stworzeniu, następnie o rozmaitych stopniach stworzeń, wreszcie o stworzeniu rozumnem, to jest o człowieku. Tom III zajmuje się cnotami teologicznemi: wiarą, nadzieją i miłością.

Jeżeli zwrócić uwagę na to, że zadaniem teologji jest badać istotę celu naszego życia, oraz oświetlać drogi wewnętrzne, które doń wiodą, to nauka ta, choć na pierwszy rzut oka zdaje się suchą, jest przecież

*) X. Dr. Kazimierz Lutosławski. Teologja. Wykład dla wykształconego ogółu. Część pierwsza: Podstawy wiary i moralności. Tom I. Bóg, jako przyczyna. Warszawa 1919, str. 202.

*) X. Dr. Kazimierz Lutosławski. Teologja. Wykład dla wykształconego ogółu. Część druga: Życie moralne. Tom III. Dążeni stworzenia rozumnego do Boga. Rozbiór szczegółowy. O cnotach ologicznych. Warszawa 1919.

posła włościańskiego Kowalewskiego w debacie — o przyznaniu potrzebnego kredytu dla budowy laboratorjów uniwersytetu krakowskiego. Nie o laboratorja tu chodzi. Socjalista Czapiński skorzystał z okazji, by napaść na Uniwersytet Jagielloński, jako przybytek katolickiej reakcji, żądając usunięcia zeń wydziału teologicznego. Kowalewski na tę wycieczkę odpowiadał. Słowa jego przynoszą zaszczyt chłopu polskiemu. Zastrzegłszy się, że niema żadnego zaufania do tych opiekunów z lewicy, zaznaczył, że wszystkie ich dobrodziejstwa są niczem, wobec tego, że co najdroższego ma lud polski — wiarę świętą — chcą mu wzamian odebrać. „Nie nasycicie nas tą ziemią, wołał, bo chłop wie, że ziemia to rzecz doczesna, a rzecz główna—to cnota i wiara, która do wieczności prowadzi". „Precz od świętości naszych", „chłop nie da tknąć religji, nie zgodzi się na bezbożną szkołę, na usuwanie teologji". Dosadnie też doradzał Czapińskiemu, by sobie swoich talmudu uczył, a do spraw ludu katolickiego się nie mieszał. Wreszcie charakterystycznie też ocenił szczerość opiekunów ludu: „Wy macie być przedstawicielami robotników, pan Daszyński wołał „my robotnicy polscy", a tymczasem wy jesteście burżuje i kapitaliści, którzy udają proletarjat". Istotnie Djamandy, Moraczewscy, Daszyńscy mieliby nielada kłopot z udowodnieniem swojej przynależności do proletarjatu.

Ostatnią ważną sprawą, która Sejm zajmowała, była sprawa konwencji wojskowej z Ententą. Tutaj maska życzliwości dla zachodnich przyjaciół spadła z twarzy socjalistom. W dyskusji z tej strony użyto argumentu porównawczego: straszono skutkami wprowadzenia obcych instruktorów, powołując się na wrzenie, wywołane w szeregach polskich swojego czasu przez wyższych sztabowców niemieckich! Drobna różnica—między zaklętym wrogiem, a życzliwym przyjacielem socjalistów nie uderza! Ale Sejm nad tą obłudną grą przeszedł do porządku. Socjaliści nie chcą mocnej, na zwycięskich wzorach zbudowanej armji, nie chcą potężnego ramienia zbrojnego w ręku rządu, od większości Sejmowej zależnego, chcą utrzymać nadal tę parodję armji, jaką nas raczą szybko na generałów awansowani dyletanci; ale Sejm uznał, że narażanie naszego rekruta na to, by gęstym trupem, kalectwem, chorobami i nędzą płacił za samodzielność dyletantów — byłoby zbrodnią; jeśli naród swych synów powołuje pod broń—musi zagwarantować im, że ich odda pod komendę kompetentnych wodzów — poczucie pełnej odpowiedzialności łączących z wysoką wiedzą fachową. Gdy tych nam zaborcy nie dali wykształcić u siebie — musimy ich pożyczyć od obcych przyjaciół. Tandeta, niedołęstwo, karygodne nieuctwo i marnowanie żołnierza — nie mogą mieć pierwszeństwa dlatego tylko, że są rodzime — przed wiedzą, sumiennością i sprawnością organizacyjną, choć będą musiały przez pewien czas być obce. Piastowcy myśl konwencji gorąco poparli poważnymi, rzeczowymi argumentami; uchwałę powzięto dużą większością: tradycje Enkaenowej słabości jeszcze pokutują wśród nas, ale naród je złamał.

Przemawiał w tej debacie i Minister Wojny: unosił się nad dzielnością żołnierza, który bosy, obdarty, głodny i nędznie uzbrojony walczy, jak bohater. To wiemy i podziwiamy, ale—jak słusznie zaznaczył referent Komisji Wojskowej — od Ministra Wojny raczej oczekiwalibyśmy wyjaśnienia, dlaczego ten żołnierz dotąd jest bosy, obdarty i głodny — a zwłaszcza co zrobił i co zrobić zamierza, aby corychlej tej ohydzie niezdarności i niesumienności administracji wojskowej kres nareszcie położyć. Komisja Wojskowa — widząc

---

i niezmiernie ciekawą i nieskończenie przytem dla nas ważną. „Nauka teologji tem się różni od innych nauk, że wszystkie nauki mają jedno źródło i jeden fundament: doświadczenie i rozum ludzki, mający w sobie założone najogólniejsze podstawy pierwszych prawd, nauka teologji zaś poza tem źródłem i tym fundamentem przyrodzonym, ma jeszcze drugi: Objawienie—jako źródło i prawdziwość Bożą—jako fundament. Rozum ludzki może na własnem rozumowaniu upewnić się, że to źródło nadprzyrodzone i ten fundament nadprzyrodzony teologji są możliwe i wiarogodne. Stąd teologja w całej pełni może i musi być uznaną za naukę, acz o szczególnych założeniach. Tak jak wszystkie inne nauki—teologja nie udowadnia swoich własnych założeń; założenia jakiejś nauki są bowiem tym punktem wyjścia, na którym rozumowanie opiera gmach naukowy; tak np. fizjologja buduje swój system prawd, opierając się na założeniach fizykochemicznych, których nie udowadniamy w fizjologji, ale które stanowią przedmiot osobnych nauk: fizyki i chemji; te z kolei opierają się na założeniach, między innemi, matematycznych, które udowadnia nie fizyka i nie chemja, ale osobna nauka matematyki; założeniami matematyki są zaś takie prawdy — jak ta, że całość jest większa od części i t. p., których nie udowadnia się w matematyce, ale które są oczywistemi pierwszemi prawami myślenia, które bada nauka osobna — teorja poznania. Tak więc i teologja swoich własnych założeń nie udowadnia, przyjmuje je za dane, na podstawie historycznie udowodnionego objawienia; ale na tych założeniach opierając się, buduje ściśle logiczny, rozumowany system prawd, które w całości swojej stanowią jej gmach naukowy. Metoda naukowa, właściwa teologji, ma tę cechę charakterystyczną, że posiada dwa sprawdziany, których kolejno używa; prowadząc rozumowanie, na założeniach rozumowych i objawionych oparte, zupełnie swobodnie i niezależnie wypracowuje wnioski i wyprowadza teorje; ponieważ jednak objawienie nie ogranicza się do ustalenia założeń, ale także zawiera bardzo wiele konkretnych prawd dalszych, krzyżujących nasze rozumowania i dociekania, niemi sprawdzamy i prostujemy pracę naukową rozumowania teologicznego. Podobnie jak w innych naukach, realny fakt spostrzegany jest sprawdzianem prawidłowości rozumowania, którego wnioski, sprzeczne z rzeczywistością, muszą być odrzucone jako fałszywe, — choćbyśmy nie umieli znaleźć popełnionego błędu; tak w teologji — poza tym sprawdzianem faktu posiadamy sprawdzian prawd objawionych; bo żaden wniosek teologiczny nie może być prawdziwy, jeśli się okazuje sprzeczny z Objawieniem. Stąd to w wywodach teologicznych nieraz spotykamy, obok argumentu rozumowego, argument autorytetu Objawienia, który nie zastępuje rozumowania, ale ostrzega nas przed popełnionemi błędami, tak jak w naukach przyrodniczych używamy eksperymentu dla sprawdzenia, czyśmy się w rozumowaniach i obliczeniach nie pomylili".

Z powyższego ustępu, dosłownie z książki X. Lutosławskiego zacytowanego (t. I, str. 22—24), widzimy, jak się autor na teologję zapatruje i jakiej się trzyma w swym wykładzie metody. Metoda ta oparta jest

rozpanoszenie się tej tandety i niedbalstwa w wojskowym zarządzie—ma wkrótce wnieść do Sejmu projekt energicznej akcji śledczej—aby rzecz tę z gruntu zmienić i winnych do ukarania doprowadzić. Nadużycia, a nawet niedbalstwo w zaopatrzeniu wojskowem powinny być sądem polowym karane. Nasz żołnierz ma prawo do takiej stanowczej obrony. *pł.*

O przysięgę wojskową.

Po całym kraju odbywają się teraz zaprzysiężenia nowozaciężnych roczników do służby wojskowej, na wierność Ojczyźnie. Dowódcy pułków zwracają się, tam gdzie niema kapelanów wojskowych, do miejscowych proboszczów, aby zechcieli wziąć udział w tym akcie religijnym. Lecz dziwna jest rola, jaką przy odbiorze przysięgi przeznacza się kapłanom. Oto mają przemówić do żołnierzy o znaczeniu i ważności przysięgi, zachęcić do ofiarnej służby dla ogólnego dobra—sam zaś akt przysięgi odebrać ma wyznaczony do tego oficer — kapłan ma być tylko biernym jego świadkiem.

Na zwróconą uwagę, iż przysięga jest per excellentiam aktem religijnym, iż odczytywanie tekstu i przyjmowanie takowej od żołnierzy tylko kapłanowi przystoi; odpowiadają przełożeni wojskowi, iż taki mają rozkaz, i że w podobny sposób i kapelani wojskowi uczestniczą w przyjmowaniu przysięgi.

Dodajmy do tego i tę okoliczność, że przysięga, nawet tam, gdzie są kościoły, odbieraną jest pod gołem niebem, zwykle przed koszarami.

Sądzę, iż zaszło tu jakieś nieporozumienie.

Nawet dawny rząd carski dbał o to, by przysięgę od żołnierzy odbierali duchowni tego wyznania, do którego należał przysięgający, a nadto by przysięga o ile możności odbywała się w kościele. Rząd ten rozumiał, że przysięga, jako akt religijny, w którym Boga się bierze na świadka, iż wolą swą przysięgający zobowiązuje się spełnić, co przyrzeka,—musi się odbywać z całą godnością i całem decorum, jakie jej przystoi. Lud nasz, szczególnie wiejski, bardzo jest wrażliwy na wszystkie uchybienia, tyczące się spraw sumienia, związanych z kultem zewnętrznym. Dziś się już dają słyszeć głosy młodych rekrutów o niewłaściwości podobnego postępowania. Wpływa ona nawet osłabiająco na świadomość i poczucie obowiązku, płynące ze zobowiązań czynionych Bogu.

X. Leopold Jarosz.

na najlepszych w tej dziedzinie wzorach. Ponieważ jest ona tak ścisła, więc niektóre zwłaszcza rozdziały wymagają nadzwyczajnego natężenia umysłu. Zapowiada to autor, gdy w słowie wstępnem: Do czytelnika, pisze: „Przedmiot, do którego się zabierasz, kochany czytelniku, jest trudny bardzo i wymaga dla dobrego zrozumienia wielkiego skupienia i uwagi, gruntownego przemyślenia każdego rozumowania, częstego zaglądania wstecz do przesłanek, na których budują się dalsze wywody, i rzetelnej chęci poznania prawdy". Ta jednak praca nie pójdzie na marne, bo teologja, gruntownie poznana, daje „nietylko zadowolenie wiedzy, ale i radość kochania najpiękniejszego celu w życiu".

X. Dr. Bolesław Wilanowski.





Wojna i polityka.

Misja międzysojusznicza opuściła już Polskę po dwumiesięcznym blizko pobycie. Jak słusznie zaznaczył na pożegnalnej uczcie p. prezes Rady Miejskiej Baliński, członkowie Misji nietylko umocnili w przekonaniach naszych szczery stosunek do Polski ich rządów, ale osobiście zdobyli sobie niekłamaną sympatję i najserdeczniejsze zaufanie wszystkich, którzy poznali ich pracę i mieli okazję z nimi się zetknąć. Praca ta była nader wszechstronna. Głównem zadaniem Misji było przeprowadzenie układów z Niemcami i Ukraińcami, obronienie Polski przed napaścią sąsiadów i przerwanie walki zbrojnej na naszych granicach. Zadanie to nie zostało spełnione. Niemcy w bardzo podstępny sposób prowadzili i przewlekali rokowania i wreszcie zerwali je na szczególe formalnym. Cały układ rozejmu był już omówiony, wszystkie warunki przyjęte, chodziło jeszcze tylko o ustalenie sposobu mianowania przewodniczącego polsko-niemieckiej Komisji nadzorczej dla opieki nad ludnością polską pod okupacją niemiecką i nad ludnością niemiecką w Poznańskiem. Niemcy proponowali powierzenie tej nominacji międzynarodowej Komisji Rozejmowej w Spaa. Misja wyraziła zgodę. Ale na kwadrans przed upływem wyznaczonego terminu Niemcy zamiast zgody na rozejm przysłali zapytanie, czyby im Misja nie służyła za pośrednika do porozumienia się wprost z Polakami: mieli w zanadrzu podstępną propozycję oddania przewodnictwa w Komisji Nadzorczej przedstawicielowi Papieża, licząc na to, że czy przyjęta, czy odrzucona, propozycja ta postawi Polaków w trudnem położeniu, dając pole do intrygi przeciwpolskiej—w pierwszym wypadku wobec rządu włoskiego i innych, w drugim—wobec ludności katolickiej Śląska i Prus Zachodnich. Intryga się nie powiodła—termin upłynął i rokowania uległy przerwie. Komisarjat Rady Naczelnej zresztą nie był skłonny do bezpośrednich rokowań, skoro raz sprawa była oddana Misji międzysojuszniczej. Układy dotyczyły wojskowego rozejmu — i zwracanie się o udział w nadzorze do Papieża, albo do Szwajcarji niczem nie byłoby umotywowane. Podstęp pruski został przez Misję odparowany, bo Niemcom zwrócono uwagę, że termin mija, że Misja czeka podpisanej zgody, a nie nowych propozycyj pośrednictwa. To też nazajutrz Niemcom kazano opuścić Poznań, a Misja zdała telegraficznie sprawozdanie w Paryżu, zwracając uwagę, że nadchodzi czas zmuszenia Niemców siłą do dotrzymania warunków rozejmu ogólnego, które swemi napaściami zbrojnemi na Polaków gwałcą: głos ma marszałek Foch.

Taksamo bezskuteczna była interwencja Misji na froncie ukraińskim: generałowie Barthélemy i Carton-de-Wiart przekonali się naocznie i bezpośrednio o niemożliwości traktowania Ukraińców, jako cywilizowanej strony wojującej; gdy pociąg pod flagą francuską, wiozący generałów, ze Lwowa podległ obstrzałowi, przy którym zginął oficer francuski i żołnierz—sojusznicy utwierdzili się w przekonaniu, że mają do czynienia z bandytami, a nie z armią. Niestety w Paryżu, pod naciskiem doktryny bezstronności, nieoczekiwanie, wbrew opinji przedstawicieli Misji, postanowiono jeszcze raz sprobować pertraktacji i wezwano telegraficznie dowództwo ukraińskie i polskię pod Lwowem do zawieszenia działań wojennych i przystąpienia do układów. Prasa francuska przyjęła tę nieoczekiwaną decyzję z nieukrywanem zdumieniem, a gdzieniegdzie z oburzeniem. Zwłaszcza zwrócenie się wprost do generała polskiego, a nie do rządu w Warszawie i równe traktowanie bandyckich napastników i armji państwa, uznanego za sojusznicze — wywołało słuszne protesty. Misja w Warszawie była również tym niesłychanym nietaktem zaskoczona. Niewątpliwie reprezentacja polska upomni się o dobre prawo rządu polskiego, które tu zostało pogwałcone. Jak dotąd propozycje paryskie nie mają skutku—i na froncie strzały i walki trwają.

Szczęśliwszą była działalność Misji w Cieszynie. Pomimo wykrętów, nadużyć i uporu ze strony Czechów warunki, podyktowane w Paryżu, są powoli wymuszane. Sądownictwo i administracja cywilna polskie na terytorjum, gdzie Czesi jeszcze trzymają swoje wojska, są przywrócone, straże czeskie z kopalni nareszcie wycofano i strajk górników dzięki temu został zakończony, zapewne też i dowóz węgla karwińskiego do Polski zostanie wznowiony.

Jeżeli jednak bezpośrednie cele rozejmowe Misji Międzysojuszniczej nie zostały osiągnięte, to niemniej przeto Misja ta ma epokowe, historyczne dla Polski znaczenie. Najpierwszorzędniejsi dyplomaci Koalicji poznali nas zblizka; zyskaliśmy w nich głęboką i trwałą przyjaźń; wiele uprzedzeń i wątpliwości znikło; przyjęli setki delegacji ze wszystkich dzielnic, ze wszystkich warstw społecznych, zawodów i instytucji; sporne rzekomo tereny graniczne i kresowe niektórzy członkowie Misji poznali osobiście. Wszędzie byli świadkami entuzjazmu, gorącej życzliwości i całkowitego zaufania narodu polskiego do wielkich demokracji Zachodu. W szczególności znakomicie zbadali rolę Gdańska i Lwowa dla Polski—i przekonali się o niemożliwości poddawania nawet dyskusji ich przynależności do Polski. Państwa sprzymierzone zyskały zatem w wybitnych swoich dyplomatach i generałach doskonałych rzeczoznawców w sprawach wschodu Europy. Niestety brak tych rzeczoznawców w Paryżu daje się dotkliwie odczuć—i stąd intryga przeciwpolska święci tam w tej chwili jakby tryumfy—polegające na pewnych posunięciach, szachujących naszą politykę. Dlatego wyjazd Misji był sprawą pilną: cały zasób wiedzy i doświadczenia, jaki z sobą zabierze, zaważyć musi decydująco na ostatecznych uchwałach Kongresu; intryga naszych wrogów może nam stworzyć pewne trudności, namnożyć niezręczności i nietaktów w rodzaju depeszy do Lwowa i niewłaściwych wynurzeń Wilsona wobec Ukraińców—ale nie będą już w stanie zmienić faktu, że Polska silna, w granicach, jakie uważa dla siebie za konieczne i za słusznie sobie należne, może liczyć na całkowite poparcie Ententy.

Rezultat ten, a raczej jego umocowanie, jest także skutkiem działalności Misji w Polsce, ale przedewszystkiem mocnej, niezałamanej linji politycznej przedstawicielstwa polskiego w Paryżu—i Sejmu Ustawodawczego. Misja była świadkiem jednomyślnej uchwały Sejmu, którą sojusz rzeczywisty narodu polskiego z Koalicją został potwierdzony przez wezwanie rządu do zawarcia formalnej konwencji politycznej, ekonomicznej i wojskowej. Jednomyślność tej uchwały jest triumfem ducha narodowego nad partyjnemi intrygami. Daszyński uderzył w ton tego triumfu, udając, że sam jest jego sprawcą. Czelność tego mówcy, zbyt łatwo udającego całkowity brak pamięci, została ubrana w formy tak wykwintne, w tak śliczną mowę entuzjastyczną na cześć sojuszu z Ententą—że P. P. S. musiała, by pozostać wierną swojej taktyce, swoje wystąpienie w tej dyskusji powierzyć dwóm mówcom, obok Daszyńskiego wysuwając Perla, który „przez okno" miał uspokoić masy socjalistyczne, że przystąpienie P. P. S. do uchwały o sojuszu z Ententą bynajmniej nie ma oznaczać, by ta partja chciała poprzeć zwycięstwo Ententy, jako wynik wojny: powiedział wyraźnie, że „pragnie zwycięstwa rewolucji w całym majestacie prawa"! Że Ententa bynajmniej nie walczy dla zwycięstwa rewolucji, nawet „w majestacie prawa" (pomijając absurd, tkwiący w tem zestawieniu), i że tego zwycięstwa nie pragnie — to nie przeszkadza kameleonom socjal-burżuazji oświadczać się za sojuszem z Ententą—którą rewolucja oczywiście zwalczać musi. Dyskusja nad konwencją wojskową, specjalnie prowadzona na posiedzeniu 23-iem Sejmu, rzuca jaskrawe światło na nieszczerość i podstępną taktykę rzekomo narodowych socjalistów.

Zdecydowany już przyjazd generała Henrys z Paryża, jako szefa misji wojskowej Ententy przy Piłsudskim—powinien się stać też punktem zwrotnym w naszej pracy wojskowej. Jest to tembardziej wskazane, że ostatnie wiadomości podają jako plan Koalicji—utworzenie jednego koalicyjnego frontu, z udziałem Polski i Rumunji przeciw bolszewikom rosyjsko-ukraińskim, z udziałem Czech przeciwko Węgrom. Dowódzcą naczelnym tego frontu ma zostać gen. Mangin, energiczny, śmiały, przedsiębiorczy i bezwzględny obrońca Verdun i jeden z głównych kierowników ostatniej ofensywy na zachodzie. Można mieć nadzieję, że „wojna polska", jako ostatni akt wojny światowej, przyniesie nam ostateczne zwycięstwo i wyzwolenie całej Polski. Trzeba tylko, aby Foch zaliczył bezpośrednio i Niemców do czynnych znów uczestników walki o rozegranie dziejowych zapasów. Dlatego wyjazd Misji Międzysojuszniczej, jako świadomych świadków złej woli naszych wrogów, jest dla nas dziś faktem nader pomyślnym.

X.

PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

(Reforma gospodarki finansowej m. st. Warszawy. — Podatek dochodowy).

Budżet wydatków Warszawy w $4^{1}/_{2}$-letnim okresie wojennym wzrastał z zatrważającą szybkością. Wojna, okupacja kraju przez wojska nieprzyjacielskie: niemieckie i austro-węgierskie, w ostatnich zaś czasach wzrost wynagrodzeń dla urzędników i robotników miejskich sprawiły, że dotychczasowe przedwojenne zwyczajne źródła dochodu nie mogły nawet w połowie wystarczyć na pokrycie coraz to nowych potrzeb. Dopóki można było, zarząd miejski starał się coroczny deficyt budżetowy pokrywać w drodze zaciągania pożyczek miejskich, dziś jednak zdolność kredytowa Warszawy na rynku miejscowym spadła do zera, to też należało

zerwać z dotychczasową gospodarką kredytową i rozejrzeć się za ustanowieniem nowych wydajnych podatków. Najwyższy czas już był przeprowadzenia sanacji finansów stolicy, obdłużenie bowiem jej dosięga już obecnie a nawet przekracza 300 miljonów marek, same procenty i raty umorzeniowe od tych długów wynoszą prawie połowę dochodów zwyczajnych miasta. Taki anormalny stan gospodarski miejskiej dłużej istnieć nie mógł, zarząd więc stolicy zajął się obmyślaniem sposobów eksploatowania innych zwyczajnych źródeł dochodowych. Luty i marzec 1919 r. pamiętne będą w dziejach gospodarki skarbowej Warszawy, w tym bowiem czasie ustanowiono pobór podatku dochodowego i podatku od przyrostu wartości własności nieruchomej, oraz zreformowano pobór podatku od nieruchomości miejskich.

Ustanowiony przez Radę Miejską statut o poborze podatku dochodowego, na rzecz kasy miejskiej miasta st. Warszawy, został zatwierdzony z pewnemi zmianami przez ministra spraw wewnętrznych dnia 8 marca 1919 roku z tem zastrzeżeniem, że podatek ten będzie miał charakter poboru jednorazowego na r. 1919 do czasu wprowadzenia państwowego podatku dochochodowego. Tak więc w gospodarce finansowej Warszawy przeprowadzono reformę niesłychanej wagi, wydaje się przeto dziwne, że sprawa ta słabe tylko echo znalazła w prasie warszawskiej.

Na podstawie wyżej wymienionego statutu podatek dochodowy opłacać będą osoby, mające stałe miejsce zamieszkania w Warszawie, osoby przebywające w Warszawie ogółem, choćby z przerwami, nie mniej niż 6 miesięcy w ciągu roku i wreszcie osoby, zamieszkałe poza Warszawą, lecz posiadające w Warszawie majątek nieruchomy lub przedsiębiorstwo zarobkowe. Pod osobami stale zamieszkałemi w Warszawie rozumieć naturalnie należy nie tych, którzy są zapisani do ksiąg ludności stałej miasta, w myśl odnośnych przepisów policyjnych, lecz mających w Warszawie główne swe siedlisko, zgodnie z art. 26 kod. cywilnego.

Zwolnieni od płacenia podatku dochodowego będą: a) osoby prawne, które stanowią właściwie pewien kompleks osób fizycznych, pociąganych bezpośrednio do płacenia podatku, b) urzędnicy doplomatyczni i konsularni, o ile są obywatelami państw, które reprezentują; zwrócić przytem należy uwagę, że od podatku zwolniony będzie ich dochód z tytułu poborów służbowych, oraz dochód osiągany z majątku, znajdującego się poza granicami Polski, c) wojskowi i urzędnicy państwowi, odnośnie do dochodów z poborów służbowych, d) osoby, których dochód roczny nie przekracza 6000 marek.

Podatek pobiera się według systemu pruskiego, a więc od tak zwanego globalnego czyli ogólnego dochodu podatnika. Na dochód więc do opodatkowania składają się:

1) dochody z majątków nieruchomych, otrzymane na podstawie prawa własności, posiadania, dzierżawy i wszelkich innych form użytkowania;
2) dochody z przedsiębiorstw zarobkowych, z uczestnictwa w spółkach handlowych, z dzierżawy i administracji poręczającej przedsiębiorstw publicznych i prywatnych, z monopolów, koncesji, przywilejów, oraz z operacji i przedsięwzięć doraźnych;
3) dochody z kapitałów wszelkiego rodzaju w postaci procentów, kuponów, dywidend, dyskonta i t. p.;
4) dochody z pracy osobistej, jako to: wynagrodzenie przywiązane do urzędów oraz do zajęć zarobkowych z wyborów lub z najmu w służbie publicznej lub prywatnej, dochody z pracy w zawodach wyzwolonych, prowizje i wszelkiego rodzaju wynagrodzenia za wyświadczone przez płatnika usługi. Należy tutaj podkreślić fakt, że wymienione w punkcie 4 dochody przyjmuje się w stosunku $^2/_3$ ich rzeczywistej wartości. Tak więc, jeżeli dochód lekarza wynosi 12000 marek rocznie, to opodatkowaniu podlega suma 8000 mk.;
5) renty i dożywocia;
6) wartość pieniężna otrzymywanych w naturze: mieszkania, opału, produktów i t. p. obliczona według przeciętnych cen miejscowych;
7) wygrane loteryjne.

Nie wchodzą w rachubę zyski, wynikające z realizacji majątku, nie będącego przedmiotem handlu, darowizny, spadki i wszelkie wypłaty kapitałów przez towarzystwa ubezpieczeniowe.

Jak widzimy wyżej w Warszawie opodatkowaniu podlegać będą nie poszczególne grupy dochodów, jak to jest stosowane w Anglji, gdzie osobno ustala się wysokość podatku od dochodu z nieruchomości, osobno od dochodu z kapitału, osobno od dochodu z pracy osobistej i t. d. Na mocy statutu podatkowego warszawskiego ustalony będzie ogólny t. zw. globalny dochód poszczególnych płatników, osiągany ze wszystkich źródeł dochodowych; od tej dopiero sumy obliczany będzie podatek. System ten ma bardzo poważne znaczenie fiskalne dla miasta, wobec bowiem proporcji podatkowej, podatek od dochodu globalnego stanowić będzie wyższą znacznie sumę, niż suma kwot podatkowych, ustalona dla poszczególnych kategoryj dochodu osobno. Fakt ten ilustruje poniższy przykład:

Płatnik A. otrzymuje dochód: 1) z nieruchomości miejskiej w wysokości 10000 mk. 2) z kapitałów ulokowanych w papierach procentowych — 10000 mk. 3) z prowadzenia przedsiębiorstwa — 10000 mk.; przy systemie angielskim zapłaciłby podatku przy stawce 2% od każdej grupy dochodu 200 mk., razem 600 mk. Przy obliczaniu podatku od dochodu globalnego, a więc 30000 mk. przyjmuje się już nie 2%-wą stawkę, lecz progresywnie wyższą np. 4.23%, w tym więc wypadku ten sam płatnik A. zapłaci 1269 mk., a więc dwa razy więcej.

Przy pobieraniu podatku dochodowego przez małe jednostki terytorjalne jak np. miasta, nastręcza się bardzo poważna kwestja do rozwiązania, a mianowicie: jak postąpić z osobami mającemi źródła dochodu w kilku miastach. Właściwie należałoby się w tym wypadku trzymać systemu, czysto terytorjalnego, t. j. opodatkowaniu na rzecz danego miasta powinien podlegać tylko ten dochód, który osiąga się w granicach danego miasta. Jeżeli ktoś otrzymuje dochód z domu w Warszawie i fabryki w Włocławku, to powinien płacić podatek na rzecz Warszawy tylko od dochodu z domu. Przy stosowaniu jednak systemu terytorjalnego wpływy z podatku są znacznie niższe, to też w niektórych krajach miasta pobierają podatek od dochodu ze wszystkich źródeł dochodowych, gdziekolwiekby one były położone, potem zaś następuje rozrachunek pomiędzy poszczególnemi zainteresowanemi miastami. Statut o podatku dochodowym w Warszawie zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy obu systemami. Mianowicie osoby zamieszkałe w Warszawie opłacać mają podatek wedle całego dochodu, gdziekolwiek będzie uzyskany, wszakże dochody z eksploatacyj znajdujących się poza Warszawą majątków

nieruchomych i przedsiębiorstw zarobkowych przyjmuje się w stosunku 50% tych dochodów.

Podatek dochodowy, uiszczony na rzecz innego związku komunalnego od części dochodu, podlegającej opodatkowaniu w Warszawie, winien być zaliczony przy wymiarze podatku dochodowego w Warszawie.

Przy ustalaniu wysokości dochodu, podlegającego opodatkowaniu, odlicza się pewne, ściśle określone wydatki. Należą więc do nich:

a) wydatki na uzyskanie, zabezpieczenie i zachowanie dochodów, w szczególności na eksploatację majątków nieruchomych i przedsiębiorstw zarobkowych, na remont i konserwację, na opłatę czynszów dzierżawnych, odpisanie na amortyzację majątku;
b) wydatki na opłatę procentów od wszelkiego rodzaju długów oraz na opłatę innych ciężarów, opartych na tytułach prawnych;
c) wydatki na opłatę podatków państwowych i komunalnych;
d) premje ubezpieczeniowe;
e) ofiary na cele dobroczynne i użyteczności publicznej.

Artykuł 10 statutu podatkowego zawiera najważniejszy przepis, a mianowicie: taryfę podatkową. Zaczyna się ona od sumy dochodu 6000 mk, której odpowiada podatek 60 mk, t. j. 1% dochodu. Następnie stawki podatkowe progresywnie narastają: dochodzą do 2% przy 10000 mk dochodów, 4% — przy 22000 mk, 8% — przy 98000 mk, wreszcie 10% przy 200000 mk i wyżej.

Stan rodzinny płatnika pociąga za sobą pewne ulgi, a mianowicie: jeżeli płatnik, którego roczny dochód do opodatkowania nie przekracza 15000 mk, utrzymuje żonę, niepełnoletnich lub przy nim zamieszkałych niezdolnych do pracy członków rodziny, to przypadającą na niego kwotę podatkową obniża się:

o 1 stopień przy 2 członkach rodziny,
o 2 stopnie „ 3 lub 4 „ „
o 3 „ „ 5 lub większej ilości członków rodziny.

Przez wprowadzenie w życie statutu o poborze podatku dochodowego, spodziewać się można, że Warszawa zdobędzie bardzo poważne źródło dochodu. Zarząd miasta przewiduje dochodu z tego podatku około 15 miljonów marek.

St. Skonieczny.

POKŁOSIE.

Sojusz z Entente'ą a socjaliści. — Wybryk „Kurjera Porannego". — Sejm na rozdrożu? — O większość w Sejmie. — „Robotnik" wobec posłów chłopskich. — Orędownik bolszewicki.

Historyczne posiedzenie Sejmu z d. 27 marca, poświęcone sprawie sojuszu z entente'ą, głośnem echem odbiło się w prasie.

„Kurjer Poranny" pisze d. 28 marca:

„Jednomyślną manifestacyjną uchwałą Sejm Rzeczypospolitej Polskiej zatwierdził wczoraj formalnie faktyczny stan przymierza Polski z Porozumieniem Mocarstw, które obalając środkowoeuropejskie imperja powołały naród polski do nowego niepodległego państwowego bytu.

Nie sam fakt tej uchwały, ale jej jednomyślność jest rzeczą pełną głębokiego politycznego znaczenia".

„Kurjer Poranny" słusznie zaznacza, iż

„wewnętrzne walki partyjne i próba wyzyskiwania na ich korzyść konstelacji zagranicznej były powodem dlaczego tak późno stało się to, co się stać było powinno pierwszego zaraz dnia, kiedy spadły kagańce z ust narodu".

Nic dziwnego więc, że wobec świeżej jeszcze pamięci rządów Moraczewskiego

„kiedy poseł Daszyński oświadczył, że stronnictwo jego będzie głosowało za rezolucją komisji, w izbie sejmowej zauważyć się dało poruszenie, jakby świadczące, że przyjmowano to jako przyjemną niespodziankę".

Nic dziwnego również, że poseł Daszyński

„usiłował pogodzić tę decyzję ze stanowiskiem dotychczasowem swego stronnictwa w sposób nieco sztuczny".

a

„jeszcze silniej zaakcentował naturalnie tę „restrictio mentalis", z jaką nasza partja socjalistyczna przystępuje do sojuszu z burżuazją zachodu, poseł Perl."

P. J. Hł. w „Gazecie Warszawskiej" zwracając z tego powodu ponownie uwagę, iż opozycja socjalistyczna w Sejmie i poza Sejmem różnią się bardzo; pisze:

„Od pewnegu czasu utrwalił się i w Sejmie zwyczaj, że po jednej mowie umiarkowanie socjalistycznej następuje druga, rzekomo tylko uzupełniająca pierwszą, ale faktycznie jej przeciwstawiająca się. I w danym wypadku zapamiętać należy, że oświadczenie p. Daszyńskiego, że socjaliści niemieccy i bolszewicy rosyjscy są wrogami Polski, stoi w sprzeczności z uchwałą pepeesowców w warszawskiej Radzie delegatów robotniczych. Tam, jakeśmy to już zaznaczyli, uchwalili oni wraz z komunistami pozdrowienia bolszewikom węgierskim, którzy zawarli już przecież przymierze zaczepno-odporne z idącymi na nas bolszewikami rosyjskimi".

Otóż poseł Perl utrzymywał w Sejmie, że

„cały świat stoi w przededniu rewolucji socjalistycznej, która w jednych krajach przyjdzie w majestacie prawa, w innych zaś z rozwianym włosem i mieczem w dłoni. P. Perl oświadczył dalej, że zależeć to będzie od czynników dzierżących władzę i ostrzegał Sejm, że jeśli nie zrozumie konieczności dziejowej, to rewolucja przejdzie po nim".

Świetnie odparował wywody p. Perla „Kurjer Poranny" w cytowanym wyżej artykule. Pisze on mianowicie:

„na rewolucję społeczną wkraczającą nietylko bez majestatu prawa ale z urągowiskiem nad wszelkiem prawa poczuciem, na rewolucję idącą na świat z majestatem terroru, na wir miljardów puszczanych w świat nie na cele gospodarcze ale na przygotowawczą—chcemy wierzyć, że nieświadomie—służbę dla ponownych prób wkraczania do Paryża Kuehlmanów i Hindenburgów nie potrzebujemy czekać dziesięciu czy piętnastu lat; ona stoi już przed naszym progiem i walkę z nią prowadzi już armja polska. Czy oszczędziłaby ona posła Perla nie wiemy doprawdy; jesteśmy jednak pewni, że byłaby zupełnie bezlitosną dla posła Daszyńskiego".

Żałować należy, iż czasami jednak „Kurjer Poranny" przypomina sobie o swych dawnych, mocno „antyklerykalnych" czasach. Do jego rozważań politycznych, kreślonych wytrawnem piórem, wkradają się wówczas przykre dysonanse.

Oto próbka takiego dowolnego kojarzenia faktów:

W numerze poniedziałkowym—w związku z rokowaniami o przepuszczeniu wojsk Hallera, pisze „Kurjer Poranny" zupełnie poważnie:

„katolicka „Germanja" rzuciła hasło, że „Niemcy nie mogą pozwolić na dostęp Polski do morza, proponowany przez Radę Najwyższą Sprzymierzeńców", i że „żadnemu rządowi niemieckiemu nie wolno podpisać traktatu zawierającego podobny warunek". Hasło „Germanji", to hasło Erzbergera. Za Erzbergerem stoi całe poparcie Benedykta XV, działającego na Francję za pośrednictwem kardynała Amette i na Anglję za pośrednictwem kardynała Bourne; obaj ci dostojnicy sprowadzeni zostali właśnie do Rzymu w drugiej połowie marca".

Dla ukoronowania zaś tych tchnących duchem niezwykłej zaiste domyślności wywodów, „Kurjer Poranny", oświadczając że wystąpienie Węgier, było to „ostatnie ostrzeżenie niemieckie" dla koalicyjnych mężów stanu, dodaje:

„junkier Hindenburg jako wódz „czerwonych Niemców" i współkomendant Trockiego, zakrystjanin Arcyberger jako „chrześcijański komunista" we współpracownictwie z bezbożnym Leninem, a i ciche błogosławieństwo Rzymu nad tą orgją, oto widzenie, jakie ma przerazić „imperjalistów Zachodu".

Nie doprawdy, co ma z tem wszystkiem Rzym do czynienia! Nie można dla kwiecistości stylu rzucać w najwyższym stopniu krzywdzących inwektyw na Stolicę Apostolską, i godziłoby się nawet „postępowym"—publicystom mieć więcej szacunku dla Głowy Kościoła katolickiego, no i więcej... dbałości o zdrowy sens. „Błogosławieństwo Rzymu" nad przymierzem pomiędzy Niemcami a bolszewikami, jako rzekomy straszak ze strony niemieckiej jest poprostu rozbrajającym w swej naiwności pomysłem. Jaki zaś stosunek zachodzi pomiędzy Kościołem katolickim a bolszewizmem,—tego najlepiej dowodzą świątynie katolickie w Budapeszcie, pozamykane lub zamienione na sale tańców przez „komunistyczny" rząd Beli Kuhna, vel Kohna.

Wracając do spraw, związanych z Sejmem, należy wspomnieć o obszernych wywodach p. T. Hołówki w niedzielnym numerze „Robotnika" p. t. „Sejm na rozdrożu". Artykuł ten Redakcja zaopatrzyła coprawda w przypisek, podkreślający jakgdyby indywidualny jego charakter, ale tem niemniej zasługuje on na uwagę.

Otóż, autor twierdzi, iż Sejm nie spełnił tych olbrzymich nadziei, jakie w nim „lud polski" pokładał.

Mianowicie, jak pisze p. Hołówko,

„uderza w oczy brak wszelkiej przedewszystkiem planowości w pracy Sejmu. Sejm załatwia z dnia na dzień te sprawy, które rozkazująco postawi przed nim samo życie...

Sejm winien być terenem namiętnych walk i zmagań się, ale o rzeczy wielkie i zasadnicze, których to czy inne ujęcie będzie decydowało o losie i obliczu państwa polskiego na długi czas.

Tymczasem Sejm jest widownią namiętnych sporów i intryg za kulisami o rzeczy małe, o interesa i ambicje tych czy innych partyj lub nawet osób.

Na plenum zaś Sejm gubi się w małych rzeczach. Sejm dziś wyraźnie nie ma żadnej przewodniej myśli. Widać to najlepiej z tej powodzi wniosków nagłych, które posłowie zgłaszają".

Autor zaznacza, iż to samo dzieje się z interpelacjami i twierdzi w sposób zbyt krańcowy, że „rzeczy zasadniczych Sejm nawet nie dotknął".

Do tych „rzeczy zasadniczych" p. Hołówko zalicza sprawę stosunku do narodów, wchodzących dawniej w skład Rzeczypospolitej Polskiej, opracowanie konstytucji i wreszcie reformy społeczne.

P. Hołówko sądzi, iż próby wyjścia z sytuacji, która się wytworzyła, dlatego dotychczas nie uwieńczyły się powodzeniem, iż chciano stworzyć trwałą większość sejmową „pod znakiem zagadnień i politycznych i społecznych jednocześnie".

P. Hołówko dodaje, że z punktu widzenia P.P.S. „trzeba dążyć, aby w Sejmie wytworzyła się większość pod znakiem społecznym", jądro której stanowili by „piastowcy" i klub „Wyzwolenia".

„Z tą większością, oświadcza p. Hołówko, mógłby współdziałać do pewnego stopnia i Związek posłów socjalistycznych, rozumie się—zachowując zresztą własną linję zasadniczą i taktyczną".

Pan J. Hł. tak odpowiada na te wywody ekspansywnego publicysty, który potrafił ująć je tym razem w znacznie poważniejszą, niż zazwyczaj formę:

„Sejm konstytucyjny nie może nie zajmować się takiemi sprawami, jak organizacja władzy, granice państwa, stosunek do innych narodów i t. d., lub choćby zepchnąć je na plan drugi. Ale też większość, któraby się na podstawie zagadnień politycznych utworzyła, zupełnie zgodnie podjąć może rozwiązanie wszystkich palących zagadnień społecznych, a przedewszystkiem reformy agrarnej. Poglądy na tę właśnie reformę poszczególnych klubów, w których skład wchodzą włościanie, są bardzo bliskie siebie...

Jeszcze łatwiejsze jest porozumienie wszystkich klubów co do najpilniejszych kroków praktycznych w tej dziedzinie.

„Zasadnicza różnica w tej sprawie—jakeśmy to pisali niedawno—zachodzi tylko między socjalistami, głoszącymi upaństwowienie ziemi, a włościanami, stojącymi na gruncie prywatnej własności chłopskiej". Tem dziwaczniejsza jest oferta p. Hołówki, obiecująca poparcie ze strony związku posłów socjalistycznych, projektowanej większości włościańskiej".

Ceniony publicysta kończy w te słowa:

„jeżeli Sejm Konstytucyjny ma spełnić swe zadanie, jeśli ma działać prawidłowo, to musi się zdobyć na trwałą większość zarówno dla zagadnień politycznych, jak i społecznych. Uważamy to za możliwe i dlatego też patrzymy z ufnością na najbliższą przyszłość".

„Robotnik" w artykule redakcyjnym z d. 3 bm., polemizując z uwagami p. Hołówki, zapytuje również:

„Ale jakże to oddzielimy sprawy polityczne od społecznych? Jak może powstać większość sejmowa bez wyraźnej platformy politycznej, bez określonego kierunku politycznego? Oczywiście, jest to niepodobieństwo. Zgoda na to, że reformy społeczne powinny być wysunięte na pierwszy plan... Ale i sprawy polityczne nie mogą być pomijane ani odkładane".

O ile pan Hołówko występował z pewnego rodzaju ofertą pod adresem—przypuszczalnej większości ludowej w Sejmie, o tyle omawiany artykuł „Robotnika" zdawałby się wskazywać, że „coś się popsuło w państwie duńskiem".

Po raz pierwszy bowiem „Robotnik", wciąż jeszcze wychodzący pod hasłem: „Niech żyje rząd robotniczy i włościański", wystąpił tak ostro przeciwko posłom włościańskim w Sejmie.

„Stronnictwa chłopskie prowadzą już od dłuższego czasu rokowania między sobą dla ujednostajnienia programu reformy rolnej. Jeżeli przy tych rokowaniach będzie pominięta sprawa przeciwstawienia się reakcji politycznej, jeżeli i nadal znaczna część, jeżeli nie większość posłów chłopskich będzie sankcjonowała politykę gwałtu i rządów policyjnych, to żadnego pożytku z tej większości nie będzie. Przeciwnie—zachodzi obawa, że Polskie Stronnictwo Ludowe (grupa „Wyzwolenia") da się mimowoli wciągnąć w trzęsawisko i niewiele zostanie z jego radykalizmu.

Tow. Hołówko mówi o reformach społecznych. Ale chodzi o to, jakie to mają być reformy. Dotychczas większość posłów chłopskich przejawiała występną obojętność w stosunku do potrzeb i żądań robotniczych".

„Robotnik" rzuca w końcu otwarcie rękawiczkę pod adresem projektowanej większości chłopskiej w Sejmie:

„reforma rolna musi być połączona i zharmonizowana z daleko idącemi reformami w życiu gospodarczem wogóle, z poprawą położenia klasy robotniczej w szczególności. Inaczej będzie tylko łataniną, która zadowoli zamożniejszych włościan, ale nigdy rzesz bezrolnych i małorolnych. Robotnicy zaś miejscy nie pozwolą na to, aby ich sprawy były ignorowane lub lekceważone przez jakąkolwiek większość sejmową".

Organ pana Perla wogóle jest ostatniemi czasy w wojowniczym nastroju.

Pom. innemi d. 29 marca pan J. M. B. wytoczył w „Robotniku" ciężką artylerję przeciwko „Sprawie"

i jej naczelnemu redaktorowi. Ton tego wystąpienia uwalniałby nas właściwie od odpowiedzi, gdyby nie chęć zdemaskowania metod polemicznych publicysty socjalistycznego. Gromy potępienia że strony pana J. M. B. ściągnął na nas artykuł „Komu są potrzebne", zamieszczony w № 7 „Sprawy", a poświęcony Radom deleg. robotn.

Oświadczyliśmy tam, że

„w Polsce rządzić może i powinien jeden tylko Sejm, wybrany na podstawach demokratycznych. Żadnych parlamentów dodatkowych, konspiracyjnych, kierowanych przez przekupnych doradców pokątnych nie potrzeba!"

Stwierdziliśmy dalej, że Rady deleg. robotn. stały się głównym terenem działania dla agentów bolszewickich, szykujących tam bezkarnie zamach na młodą państwowość naszą, ale według pana J. M. B. dowodzić to ma, że „w stosunku do socjalistów polskich żadna etyka nie obowiązuje panów moralistów".

Gdzie Rzym, gdzie Krym...?

A socjalistów polskich czyż nic nie obowiązuje w stosunku do dopiero co odzyskanej niepodległości?

Czyż nie powinno być rzeczą najważniejszą dla nas wszystkich udaremnianie tego piekielnego planu prusko-moskiewsko-żydowskiego, zmierzającego do pogrążenia narodu naszego w odmęt nowej niewoli i nędzy ostatecznej.

Nie o „zakusy na prawa i instytucje robotnicze" chodzi więc nam, ale o obronę najświętszych naszych praw do bytu niepodległego.

Tak niedawno przecież informował „Komunista" lubelski o mającym wkrótce nastąpić wybuchu zbrojnym, zamiarach rozpędzenia Sejmu, wymordowania żandarmerji i proklamowania władzy komunistycznych rad delegatów robotniczych, którym poparcia udzielą wojska „towarzyszy rosyjskich i niemieckich". A ogłoszona w „L'Homme Libre" instrukcja rządu sowieckiego dla agentur bolszewickich zagranicą, czy nie jest wymowna?

Kiedy zaś podkreśla się, jak to uczynił nasz redaktor naczelny w Sejmie, konieczność „zwalczania agitacji bolszewickiej i unicestwienia ośrodków bolszewizmu czynnego", wtedy panowie Borscy uderzają na alarm, że jest to „żądanie represji wobec radykalnego odłamu społeczeństwa".

Nie, panie żarliwy „orędowniku bolszewicki", nie należy nawet swym przeciwnikom politycznym podsuwać obcych im zamiarów.

Należy natomiast raz wreszcie wyraźnie się opowiedzieć, po czyjej stronie jesteście: czy zbirów Lenina i Trockiego, którzy chcą znowu zamienić Polskę w cząstkę Sowdepji moskiewskiej, czy też tych, którzy tym próbom gotowi są opierać się ze wszystkich sił. *M.*

Szkodliwe komunały i przesądy.

7. *„Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!"*

Komunał ten nie jest tak powszechny, jak inne, omówione już na tem miejscu. A jednak są jeszcze ludzie, którym się wydaje, że solidarność klasowa—to rzeczywiście żywotny i realny czynnik.

Wojna obecna gruntownie rozwiewa te złudzenia. Jedynie realny czynnik, łączący między sobą przedstawicieli różnych obozów politycznych, różnych warstw społecznych i różnych wyznań,—to świadomość narodowa, patrjotyzm, miłość ojczyzny. Wierność charakterowi narodowemu, zasadom, reprezentowanym przez mój naród, metodom postępowania, stosowanym przez moich rodaków—jest tak silna w każdym z nas, że wiednie czy bezwiednie ulegać każdy z nas musi temu, co się objawia jako specyficzna cecha lub konglomerat cech mego narodu.

Czy to bolszewicy rosyjscy, którzy wbrew samym sobie nieledwie idą śladami zaborczego caryzmu, czy to socjaliści niemieccy, którzy po dziś dzień w takiej Litwie np. stosują wypróbowane metody junkrów pruskich, czy to socjaliści francuscy, dobijający się Alzacji równie gorliwie jak Clemenceau—wszyscy służą temu, co jest podświadomym elementem ich kultury narodowej, ich narodowym charakterem. Nie interes wspólny tryumfuje i rozstrzyga, lecz skłonność zgoła organiczna, uczuciowa, nie ciało—lecz duch.

Ba, dalej nawet pójść należy: rozstrzyga nie duch sam nawet, lecz *krew!* Wybuch bolszewickiej rewolucji na Węgrzech nasuwa nam refleksje, że nie całkiem się zerwały w ludach Europy więzy *rasowe*. Wszak to krew mongolska przemówiła w Węgrach i zaczęła żywiej krążyć, gdy w ich braciach Moskalo-Tatarach krew tak się rozigrała, że aż trudno w tych nieszczęsnych naszych sąsiadach słowiańszczyzny się doszukać! A solidarność romańska czyż nie objawiła się również podczas tej wojny na przykładzie Włoch i Rumunji?

Echa samego nawet bolszewizmu, rozbrzmiewające to tu to tam, również tylko potwierdzają naszą zasadę, że tylko nieświadomie działające uczuciowe i organiczne czynniki narodowe decydują dziś, bo wszak bolszewizm jest znów wyrazem solidarności... narodowej—bo solidarności żydowskiej!

Tak, wojna obecna wykazała dowodnie, że zbieżność interesu materjalnego ani w części nie działa tak silnie, jak irracjonalne czynniki charakteru narodowego i patrjotyzmu. Socjalizm więc, wysuwający wciąż hasło solidarności międzynarodowego proletarjatu, jest w praktycznem życiu w każdym bądź razie... niekonsekwentny!

8. *To paradoks!*

Jakież często tem krótkiem słowem zabijamy twierdzenie nam niemiłe, które nas razi, i rozgrzeszamy w ten sposób siebie i innych od głębszego wejrzenia w treść tego, co pod szatą „paradoksu" się ukrywa!

Cóż bo jest istotą paradoksu? Samo greckie pochodzenie tego słowa daje dostateczną definicję paradoksu: jest to pewne podkreślenie *mego* zdania przeciwko mniemaniu powszechnemu. Dla Greków paradoks był już dostatecznym powodem do stosowania ostracyzmu, bo społeczność grecka nie znosiła, by się ktoś jej przeciwstawiał, by się śmiał uważać za doskonalszego od niej.

Od czasów jednak greckich zaszły już, chwała Bogu, w społeczności europejskiej duże zmiany. Jedną z cech istotnych chrześcijaństwa jest wolność, tendencja ku maksymalnemu uwzględnieniu rozbieżnych indywidualności. „Vox populi" dla chrześcijaństwa bynajmniej nie jest „Vox Dei", my bowiem pamiętamy co swego czasu orzekł ów „vox populi" o naszym Mistrzu. Dzisiejszy zwłaszcza problem chrześcijaństwa, to tytaniczny wysiłek w celu zaszczepienia zasad etyki indywidualnej społeczności; jest to zresztą dalszy akt odwiecznej walki pomiędzy jednostką a społeczeństwem. Walka ta przybiera wciąż nowe formy i nieskończone odmiany, nie przestając być w gruncie rzeczy jedną i tą samą. Kto się ostoi w tej walce: czy

jednostka z jej ideałem *anarchizmu*, czy też społeczność, pragnąca utwierdzić powszechność *socjalizmu*? Chrześcijaństwo zgodnie ze swą istotą idzie drogą pośrednią i stara się godzić te dwie ostateczności. Społeczność nie powinna być grobem indywidualności, jednostka nie jest jeszcze wrogiem ogółu, chociaż stoi osobno.

Tu jest czas i miejsce na przewartościowanie pojęcia „paradoks". W potocznem znaczeniu tego słowa, to twierdzenie przesadne, zbyt śmiałe uogólnienie, głupstwo wreszcie. Tymczasem nie trzeba chyba dowodzić, że te trzy pojęcia nie są identyczne. W samej istocie paradoksu tkwi właśnie to, że jest on pewnem przybliżeniem do prawdy, pewną cząstkową prawdą, acz prawdą *całą* nie jest. Paradoks, hyperbola, pleonazm—są to pojęcia zbliżone. Są one tem w mowie żywej, czem np. wszelka idealizacja, karykatura w sztuce. „Trzeba *powiększać* rzeczy, żeby je widziano" powiada Norwid i to twierdzenie tłumaczy nam doskonale psychologiczną genezę paradoksu.

Dziwnem bo się nam może wydać: żywię pewną ideę, noszę w duszy pewną prawdę, chciałbym się nią podzielić z innymi, — tymczasem wypowiadam ją w formie takiej, że ona nie może nie zrazić do siebie jeśli nie wszystkich, to przynajmniej znacznej części czytelników czy słuchaczy. Co za fatalny duch mną rządzi, który mi nie pozwala jasno i treściwie, spokojnie, poważnie i przekonywająco wyłożyć swą prawdę tak, by ona nie mogła nie być przyjęta, musiała być uznana, przynajmniej przez wszystkich ludzi rozsądnych i dobrej woli? Nie—mnie tymczasem coś popycha oblec moje twierdzenie w szatę paradoksu, co odstręcza od mojej „prawdy" wszystkich lub niemal wszystkich! Jakże to wytłumaczyć?

Nie zrozumiemy tego inaczej, jak tylko wmyśliwszy się w tajemny splot więzów, łączących jednostkę ze społecznością. Każdy z nas do pewnego tylko stopnia jest *sobą*, w znacznym zaś stopniu jest pewnym *refleksem* społeczeństwa. Mówię nie tyle to, co *chcę* mówić, ile to, co mówić *muszę*. Gdy przemawiam do ludzi dobrej woli, pełnych poczucia odpowiedzialności i świadomych wagi słowa—używam argumentów, dowodów, rozważań. Gdy mam do czynienia z oportunistami, ślepymi i głuchymi na oczywistość, wtenczas muszę krzyczeć, rzecz swą wyolbrzymiać, uciekać się do przesady, do paradoksu.

Ta więc geneza paradoksu. Twierdzenie nasze przyoblekamy w szatę paradoksu wtenczas, gdy treść tego twierdzenia jest naogół bezwzględnie obca memu społeczeństwu. Jednostronności negatywnej (w stosunku do pewnej tezy) mego społeczeństwa przeciwstawiam równie jednostronnie—wiednie lub bezwiednie—pewne twierdzenie, odruchowo zaostrzając przeciwieństwa pomiędzy tezą, propagowaną przezemnie, a opinią ogółu. Muszę krzyczeć, aby mnie usłyszano, gdy dookoła wszyscy śpią. Muszę się narazić na zarzut przesady, jednostronności, paradoksu, bo by inaczej twierdzenie moje pozostało niezauważone, stan bezwładu, obojętność dla mojej tezy trwałaby nadal.

Dlatego to wielcy nawet i mądrzy ludzie uciekają się często do paradoksów. Ba, bywają ludzie — wcielone paradoksy, którzy samą swoją istotą przeciwstawiają się ustalonym opiniom, i są elementem stale jątrzącym, (np. pewien filozof współczesny polski, już nie mówiąc o sławnym lordzie-paradoksie, Oskarze Wildem). Bywają wreszcie narody-paradoksy, jak np. w ciągu ostatniego stulecia naród polski.

Są jednak dwa rodzaje paradoksów. Są takie, które z czasem przestają być niemi i stają się uznanemi prawdami, np. paradoksalnie dawniej brzmiące hasła wolności, sprawiedliwości, równości społecznej. Zresztą każda idea nowa, nieuznana jeszcze przez ogół—wydaje się narazie paradoksem. Zdarzają się jednak i takie paradoksy, które nigdy paradoksem być nie przestają, lecz pomimo to nie tracą swej wartości, będąc środkiem zwrócenia uwagi na pewną stronę rzeczywistości.

Dla przykładu weźmijmy znany paradoks: „Gdyby nos Kleopatry nie był tak prosty, świat by inaczej wyglądał". Pod formą tego paradoksu ukrywamy twierdzenie, że wielkie rzeczy zależą nieraz od nieskończenie małych napozór przyczyn.

Tak więc nie należy zwalczać paradoksów ani ich lekceważyć. Trzeba je umieć odcyfrować i z poetyckich obsłonek (któż—bo z nas nie jest „poetą"?) wydobyć ziarno prawdy, tkwiące z istoty rzeczy w każdym paradoksie.

S. C.

Uwagi.

We Lwowie odbyło się liczne zebranie relacyjne posłów sejmowych. Sala była natłoczona. Zgłoszono kilkadziesiąt interpelacji i zapytań—ale jedno tylko dotyczyło Lwowa—wszystkie pozatem obracały się koło zagadnień ogólno-narodowej polityki, a zwłaszcza polityki zagranicznej. A interpelacja „lokalna" dała wyraz jednemu tylko gorącemu życzeniu lwowian: by dla ulżenia doli miasta żadnego nie czyniono wrogowi kosztem interesu narodowego ustępstwa! To ich jedyna troska: my wytrwamy, powiadają; tyleśmy przenieśli—wyniesiemy wszystko, co będzie trzeba, ale niech rząd i dowództwo nie marnuje owoców tej ofiary przez małoduszne i ustępliwe stanowisko!

Przypomina to ton odezwy więźniów z Huszt — pomnik bohaterstwa ducha polskiego!

Cześć bohaterskiemu miastu!

(r.).

* * *

Jakaś rozmajona pani czy panna Maja Majapolska na łamach „Gazety Polskiej" (145), z gorącością semickiej wyobraźni czy naiwnością panieńskiego entuzjazmu, propaguje urządzenia w Warszawie „święta sadzenia drzew", jako zapoczątkowania szeregu perjodycznych świąt dziecięcych, imitujących „starożytne święta eleuzyjskie, święta Nilu, przeniesione na nasz grunt europejski".

Podobno pomysł ten spodobał się już paru przełożonym i chcą swe uczennice oddać pod komendę pani Maji Majapolskiej, by je poprowadziła przez ulice Warszawy „korowodem barwnym, roześmianym, ze sztandarami z kwiatów, chorągwiami z motyli, hasłami ewangelicznych prawd—strojnie, rytmicznie, z muzyką, śpiewami i poezją"—jak głosi odezwa amatorki wskrzeszenia czasów i obyczajów pogańskich.

Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to bardzo mi przykro, że Warszawa posiada tak mało orjentujące się przełożone, które nie czują, iż w Polsce katolickiej mogą być uznane ze względów pedagogicznych za pożądane „*uroczystości* sadzenia drzew" ale nigdy „święta" o wyraźnej tendencji pogańskiej. A następnie, urządzanie dziś po ulicach Warszawy jakichś teatralno-baletowych pochodów chociażby nawet dzieci, dziś, gdy krew polska przelewa się na tylu frontach, gdy tysiące ludzi bez pracy pozostaje, gdy zaraźliwe choroby lud-

ność dziesiątkują — to doprawdy trzeba mieć bardzo a bardzo zdezorganizowane władze umysłowe.

Pani czy panna Maja Majapolska, kiedy chce, może ku rozweseleniu stroskanych przechodniów przespacerować sobie solo po Warszawie, „strojnie rytmicznie, z muzyką, śpiewami i poezją", „przy dźwiękach harfy"—ale do realizowania pomysłów, w najlepszym razie mogących stać się szopką, nie wolno przełożonym wciągać swych uczennic.

(s.).

* * *

Ukazała się wzmianka w pismach codziennych, że przybył do Warszawy przedstawiciel „Kontynentalnego Tow. gazowego w Dessau", celem porozumienia się z zarządem miejskim co do przejęcia zakładów gazowych w Warszawie przez tenże zarząd.

Miejmy nadzieję, że tym razem zarząd nasz stanie na wysokości zadania i zakończy ostatecznie okres niemieckiej gospodarki w tak ważnem przedsiębiorstwie miejskiem, z którego znaczne zyski aż do wybuchu wojny szły do kieszeni naszych wrogów!

Obowiązkiem opinji publicznej jest dopilnować, by ta rzecz załatwiona była z rzeczywistą korzyścią miasta. Radni miejscy mają wdzięczne zadanie do spełnienia.

(s.).

* * *

Agentom bolszewickim przeciągnęły się miny. Tyle miljonów wyciągnęli na agitację w Polsce od swych pejsatych i pludrowatych przełożonych, tyle nikczemnych odezw puścili w obieg, tyle kłamstw i podstępnych oszczerstw rozpowszechnili, a jednak tak są dalecy od upragnionego celu.

Pierwszego kwietnia, kiedy roili sobie, że cały szereg strajków sprawi w Polsce początek ogólnej anarchji, tymczasem w Warszawie tysiącami ludzie rozkupywali prima-aprilisowy „dodatek nadzwyczajny" o zamordowaniu... Trockiego i żałowali że to tylko zmyślenie. Co za czarna niewdzięczność ze strony tych, których pan Trockij-Bronsztein chce mieć za swych poddanych!

Oczywiście o tym kawale prima-aprilisowym pan Trockij napewno się nie dowie. Już są tacy, co postarają się o zatuszowanie całej sensacji w obawie, by urażony szef bolszewizmu nie zalecił wstrzymania pensji, zapomóg i funduszów dyskrecjonalnych swym zaufanym wysłańcom do Polski.

Nawet zawód agenta bolszewickiego ma swoje „ciernie"...

(s.).

Z PISM I KSIĄŻEK.

Wiktor Gomulicki: „Krzyż" — powieść. Poznań 1919. Nakładem księgarni św. Wojciecha. Str. 498. Cena 13 mk.

Ostatnią powieść swoją, której już nie ujrzał w wydaniu książkowem, poświęcił Gomulicki walce socjalizmu z chrystjanizmem, walce trwającej od lat szeregu, a szczególnie ostro zarysowującej się w chwili obecnej.

Nim utworowi temu poświęcimy specjalny feljeton, sygnalizujemy na tem miejscu jego ukazanie się i zwracamy uwagę wszystkich na tę interesującą a zarazem ideową powieść.

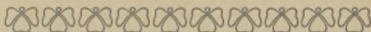
Działalność Ojca Świętego w czasie obecnej wojny, treściwie opisana na podstawie dokumentów autentycznych staraniem „Civilta Cattolica". Warszawa 1919. Skład główny w księgarni Polaka-Katolika. Str. 63. Cena 1 mk. 65 fen.

W czasie wojny, przez lat cztery, prawie zupełnie byliśmy odcięci od łączności bezpośredniej z Zachodem i z tego powodu wiele spraw niedokładnie wiedzieliśmy albo nawet wcale o nich nie słyszeliśmy. Mglisto również—z racji takiego stanu rzeczy—przedstawiała się nam działalność Ojca św. w czasie wojny, dobrze się tedy stało, że ukazują się w polskim przekładzie odpowiednie dokumenty, które nam całą kwestję przedstawiają we właściwem świetle.

Teodor Jeske Choiński: **„O żydach co myśleli i myślą dotąd mężowie wybitni i uczeni różnych narodów"**. Warszawa. 1919. Skład główny w księgarni „Kroniki Rodzinnej". Str. 40. Cena 1 mk. 10 fen.

W cyklu „Bibljoteczka żydoznawcza" ukazała się trzecia z kolei broszurka T. J. Choińskiego pod zaznaczonym powyżej tytułem. Zasłużony powieściopisarz i publicysta ze znajomością rzeczy wydobywa na światło dzienne opinje o żydach, wypowiedziane w różnych czasach i z różnych powodów przez najwybitniejszych przedstawicieli rozmaitych narodowości.

Opinje te wypadają przeważnie ujemnie—no ale to już wina nie autora lecz żydów.



„SPRAWA" wychodzi pod kierunkiem X. Dr. Kazimierza Lutosławskiego przy najbliższym udziale X. Prof. K. Tomczaka oraz panów: T. Błażejewicza, J. Chacińskiego i X. Dr. B. Wilanowskiego.

Prenumerata „SPRAWY" wynosi rocznie Mk. 55, półrocznie Mk. 30, kwartalnie Mk. 16. Prenumeratę przyjmują wszystkie Księgarnie, Ajencje, Kantory pism i Redakcje o pokrewnym kierunku.

OGŁOSZENIA: Za jeden wiersz petitu, lub jego miejsce: przed tekstem Mk. 1.50, w tekście Mk. 3.—, reklamy Mk. 1.25, zwyczajne Mk. 1.— Administracja: Zgoda 5, w podwórzu, otwarta od g. 9 do 3. Przekazy należy adresować wyłącznie: Administracja „SPRAWY" Zgoda 5.

Redaktor i wydawca: X. Dr. K. LUTOSŁAWSKI. Złożono i odbito w drukarni F. Wyszyński i S-ka, Zgoda 3.